



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marian Burzyński

## Między Powiślem a Starówką

Przedwojenne warszawskie Powiśle to obszar stanowiący bardzo wydłużony prostokąt, ograniczony od północy wiaduktem Pancera i mostem Kierbedzia, od wschodu brzegiem Wisły, od południa wiaduktem i mostem Poniatowskiego, zaś od zachodu skarpą wiślaną wznoszącą się około 30 metrów nad poziom rzeki.

Wisła tętniła wówczas życiem gospodarczo-transportowym, jak i wypoczynkowo-sportowym. Była pełna statków parowych Towarzystwa Żeglugowego „VISTULA”, kryp i barek wypełnionych różnorodnym towarem spławianym do Warszawy z okolic górnego biegu rzeki lub ze stolicy do miejscowości leżących w dolnym biegu. Przystanie dla wodnych środków transportu znajdowały się przy lewym brzegu Wisły, między ulicami Lipową i Karową. Obok przystani handlowo-pasażerskich oraz usypisk piasku i żwiru na dolnym tarasie brzegowym biegła nitka linii kolejowej, ciągnąca się od stacji Warszawa-Gdańska do elektrowni miejskiej na Powiślu. Dowożono tędy węgiel, a wywożono żużel i popiół z palenisk kotłowych. Natomiast na tarasie górnym znajdowało się bardzo lubiane przez mieszkańców Powiśla miejsce spacerów rodzinnych, pełne zieleni trawników i różnorodnych drzew, wśród których, w pobliżu ul. Lipowej, znajdował się pomnik Dowborczyka, a nieco dalej na południe przy Tamce piękny, majestatyczny pomnik warszawskiej Syreny. I chociaż na tymże górnym tarasie przebiegały dwie asfaltowe jezdnie Wisłostrady, to spacerów i odpoczynku można było zażywać bezpiecznie, bowiem ruch samochodowy był niewielki, zaś tabor konny był z daleka widoczny i łatwy do ominięcia.

Uzupełniając obraz przedwojennego Powiśla dodać należy jeszcze kilka charakterystycznych dla tego obszaru punktów. Były więc tam dwa kościoły – na Tamce p.w. św. Teresy od Dzieciątka Jezusa i na ul. Księdza Siemca p.w. św. Franciszka Salezego; trzy szkoły powszechne, mieszczące się w budynkach przy ul. ul. Karowej 18, Dobrej 56 i Drewnianej 8 oraz 2 szpitale – położniczy im. Księżnej Anny Mazowieckiej przy zbiegu ulic Karowej i Wybrzeża Kościuszkowskiego i Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Solec Czerwonego Krzyża. Naprzeciw szpitala położniczego mieściła się Stacja Pomp Kanałowych „Powiśle”, a nieco bliżej skarpy zespół budynków Zakładu Oczyszczania Miasta. Z kolei między Lipową, Dobrą, Karową i Wybrzeżem Kościuszkowskim rozlokowały się różne wydziały Wodociągów Warszawskich. Przez Powiśle ulicami Nowy Zjazd, Dobra, Solec, Ludna i Książęca przebiegało torowisko tramwajowe, po którym kursowały dwie linie tj. „P” i „Z”.

## Początek zdarzeń

Urodziłem się w dniu 26 sierpnia 1931 roku w szpitalu położniczym przy ul. Karowej 2, jako syn Juliana i Janiny, zamieszkałych na Powiślu przy ul. Furmańskiej 13 m 23. Ojciec mój pracował w redakcji dziennika „Czas” (własność księcia Radziwiłła) w Śródmieściu przy ul. Szpitalnej 12. Zmarł w sierpniu 1936 roku, gdy miałem 5 lat. Wówczas właściciel gazety zatrudnił moją Matkę, dając jej warunki do względnie spokojnego życia (bez zmyry tamtych czasów, jakim było bezrobocie) i wychowania mnie.

Praca zawodowa Matki umożliwiła umieszczenie mnie w przedszkolu miejskim przy ul. Bednarskiej 26, skąd wzięły się moje pierwsze znajomości z rówieśnikami płci obojga, zamieszkałymi na Powiślu. Z przedszkola krok do szkoły. Swoją edukację rozpocząłem w dniu 1 września 1938 roku, jako uczeń Szkoły Powszechnej nr 38 im. Marii Skłodowskiej-Curie przy ul. Karowej 18. Pierwszy rok nauki ukończyłem w czerwcu 1939 roku, przechodząc do klasy drugiej.

Z tamtego czasu pozostały mi pewne okrucy wspomnień. Dwa obrazki szczególnie utkwiły mi w pamięci. Pierwszym z nich była wspaniała – według mojego odczucia – uroczystość chyba w maju 1939 roku. Na placu Piłsudskiego przekazano Wojsku Polskiemu 10 karabinów maszynowych wraz z dwukołowymi konnymi wózkami do ich przewozu. Jeden z tych karabinów został ufundowany za składek uczniów, rodziców i nauczycieli trzech powiślańskich szkół podstawowych. Dzień ten był ciepły, słoneczny, pełen podniosłego nastroju, który tworzyły liczne biało-czerwone flagi zdobiące plac, zwarte szeregi oddziałów wojska, ksiądz stojący na specjalnym podium i poświęcający oręż dla obrony naszej Ojczyzny. Pozostałe przestrzenie placu zapełniali ci, co tę broń ufundowali: dzieci, młodzież, rodzice, nauczyciele i ciekawi przechodnie. Nawet tramwaje jadące ul. Królewską zatrzymywały się w tym czasie. Jakże ja byłem dumny z mego udziału w tej uroczystości!

Drugim obrazem zapisanym w pamięci był plakat dużych rozmiarów, który wraz z ogłoszeniem mobilizacyjnym pod koniec wakacji naklejano na słupach ogłoszeniowych między innymi na rogu Furmańskiej i Karowej. Przedstawiał on polskiego żołnierza w hełmie i z karabinem w rękę, jakby biegnącego gdzieś przed siebie, z zapisanym u dołu wezwaniem „Do broni”. Wierzyłem temu żołnierzowi, że z bronią w rękę będzie nas i Polskę chronił przed Niemcami.

## Oblężenie Warszawy – wrzesień 1939 roku

1 września 1939 roku dzieci nie poszły do szkoły. Rok szkolny nie rozpoczął się. Słowa płynące z radia w naszym mieszkaniu układały się w niezrozumiałe dla mnie zdania: „Jest wojna. Niemcy napadły na Polskę bez wypowiedzenia wojny. Od dziś nasze życie będzie służyć obronie Ojczyzny przed niemieckim najazdem”.

W kilka dni później niezrozumiałe słowo „wojna” stało się zadrą w mojej pamięci, krwawiącą do dziś. Przemówiło do wyobraźni straszną rzeczywistością. Oto w najbliższym naszym sąsiedztwie z niemieckich samolotów zaczęły spadać bomby. Trafiały w domy w dolnej części ulicy Bednarskiej, przy Sowiej, a także Browarnej. Pod gruzami zginęło wielu mieszkańców. Jeszcze więcej było rannych, w tym dwoje dzieci, które wraz ze mną uczyły się w pierwszej klasie szkoły nr 38. Dla mnie, małego człowieczka, przerażający był widok tych zbombardowanych domów, wyciąganych spod gruzów ludzi szarych od pyłu i zakrwawionych.

Następnego dnia po tym strasznym nalocie, w obawie przed dalszymi bombardowaniami Powiśla, Matka zdecydowała się przenieść babcię i mnie na ul. Szpitalną do pomieszczeń biurowych „Czasu”. Praca w redakcji i drukarni odbywała się normalnie. Dziennik ukazywał się regularnie. Matka mogła pracować spokojnie, mając nas przy sobie. Uważała, że tu jesteśmy znacznie bezpieczniejsi, niż na Powiślu.

Te nowe warunki bytowania były dla mnie wielką atrakcją. Pamiętam, że spałem na dwóch zsuniętych do siebie fotelach, obitych skórą, przy wielkim biurku z zieloną lampą i srebrno-czarnym telefonem. Matka przygotowywała posiłki w małej kuchence, przylegającej do pokoju, gdzie spałem i starała się, aby chociaż raz dziennie można było zjeść ciepłą zupę.

Miejsce uznawane dotąd za bezpieczne przestało nim być w momencie, gdy w biały dzień do mojego pokoju wpadł pocisk artyleryjski, niszcząc całe jego wyposażenie. Na szczęście w momencie eksplozji nikogo w pomieszczeniu nie było. Tego samego dnia Mama przeprowadziła mnie i babcię ze Szpitalnej na Elektoralną, do naszych znajomych. Zgodzili się nas przyjąć na kilka dni. Niedługo zagrzaliśmy tam miejsce. Już w dwa dni później, w wyniku zrzucenia przez niemieckie samoloty bomb zapalających, spaliła się całkowicie oficyna, zaś frontowa (od Elektoralnej) część kamienicy utraciła dach i ostatnie piętro. Nie było innej rady, jak powrót na Powiśle, do naszego domu na Furmańskiej. Drogę z Elektoralnej pokonywaliśmy w nocy, ale widno było jak w dzień od łuny palących się wokół domów. Szliśmy przez Plac Bankowy, Senatorską, Plac Teatralny, Focha, Trębacką do Krakowskiego Przedmieścia. Cała

ta droga zasłana była jakimś gruzem, szkłem z szyb okiennych, różnego rodzaju drutami i resztkami blach. Kilka razy zatrzymywały nas patrole wojskowe i obrony przeciwlotniczej (OPL) z pytaniami dokąd i po co idziemy. Jeden z patroli pomógł nawet Mamie nieść toból z pościelą. Mimo nocy miasto było ostrzeliwane z armat ustawionych w pierścieniu wokół Warszawy.

To co zobaczyliśmy na Krakowskim Przedmieściu trudno opisać. Nieopodal Bednarskiej znajdował się skwer im. Hoovera, służący przed wojną jako miejsce odpoczynku dla wielu warszawiaków, szczególnie z małymi dziećmi. Ze stojącego tam pomnika Wdzięczności Ameryce biła zawsze fontanna ku uciesze dziecięcej gawiedzi. Tamtej nocy na trawnikach skweru leżały ciała zabitych żołnierzy polskich i cywilów, także małych dzieci. Rzędy zwłok niczym nie przykryte spoczywały głowami do muru okalającego skwer. Nieco dalej kilku żołnierzy i cywilnych mężczyzn kopało długi rów. Składali do niego zawinięte w jakieś białe płachty ciała. Mimo ostrzału artyleryjskiego i strachu o własne życie, staliśmy tak kilka minut, nie mogąc ruszyć dalej z powodu grozy, jaką powiało od tego skweru. Pierwszy raz w swoim króciutkim życiu stanąłem wobec śmierci, która dotknęła tylu niewinnych ludzi. Płakałem głośno i długo przez całą dalszą drogę. Uspokoilem się dopiero w domu na Furmańskiej. Moja Mama nawet nie próbowała mnie uciszyć, zresztą sama była wstrząśnięta tym widokiem, podobnie jak i babcia.

Dotarliśmy wreszcie na Furmańską 13, gdzie życie toczyło się nadal, chociaż w bardzo trudnych warunkach. Przenieśliśmy się do piwnicy, oszczędzając świece, ograniczając zużycie wody i chroniąc resztki artykułów żywnościowych, jakie nam jeszcze pozostały. Jeden posiłek na dobę przygotowywany był w nocy, na palenisku z dwóch cegieł ustawionych na środku podwórka. Nie było elektryczności i gazu, nie było wody w kranach. Nieczynne były piekarnie, zamknięte sklepy spożywcze. Niektórzy zdobywali żywność ze zbombardowanych sklepów lub przynosili ją na Powiśle z palących się magazynów w Porcie Praskim. Później dobrze kazali sobie płacić za ten prowiant. Niestety, do zasobności pieniężnej daleko było mojej Mamie. W oczy zaglądał głód. Skromnej pomocy żywnościowej udzielał nam wujek Stanisław, brat Mamy. Powołany do wojska w drodze mobilizacji, kwaterował w Cytadeli na Żoliborzu. Odwiedzał nas przynosząc za każdym razem część swojej racji żywnościowej w postaci sucharów, prasowanej w kostki kawy zbożowej z cukrem i konserw mięsnych.

Mniej więcej w połowie września dotarli do nas pozostali członkowie naszej rodziny, tj. ciocia Rozalia (kuzynka Mamy) z dwojgiem małych dzieci – chłopcem Zbyszkim i dziewczynką Danusią. Ich ojciec został zmobilizowany do wojska jeszcze w sierpniu i słuch po nim zaginął. Mieszkali oni na Rakowcu w pierwszej kolonii Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, znajdującej się na peryferiach Warszawy. Osiedle to na początku września znalazło się na pierwszej linii frontu. Jego mieszkańcy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich siedzib i udania się na poniewierkę. Po licznych perypetiach dotarli do nas na Powiśle, gdzie znaleźli schronienie i skromniutki wikt. Byli u nas do końca działań wojennych, tj. do kapitulacji oblężonej stolicy 27 września 1939 roku. Później powrócili na Rakowiec, zastając kompletnie ograbione mieszkanie.

## Początek niemieckiej okupacji

Pewnego dnia pod koniec września 1939 roku zaskoczyła nas cisza. Przestały latać niemieckie samoloty i zrzucać swoje śmiercionośne ładunki. Nie strzelała artyleria. Jej pociski przestały rozrywać się na ulicach i w murach. Cisza ta skłoniła co odważniejsze osoby do opuszczenia piwnic i wyjścia na ulice. Potem coraz więcej ludzi pojawiało się na podwórkach i placach. Rozpoczęła się gorączkowa krzątana za wodą, jakąś żywnością. Poszukiwano bliskich i znajomych. Mało kto zdawał sobie sprawę z przyczyn zaistniałej sytuacji, z owej ciszy.

Mieszkańcom domu przy ul. Furmańskiej 13 miejscowy komendant OPL podał do wiadomości, że 27 września zostało podpisane zawieszenie broni, po czym prawdopodobnie miasto skapituluje i wejdą do niego Niemcy. Po tej wypowiedzi wybraliśmy się – Mama i ja – po wodę do Wisły. Mama z dużym wiaderkiem, ja z wiaderkiem. Po dojściu do zbiegu Karowej i Wybrzeża Kościuszkowskiego, obok szpitala położniczego, spostrzegłem coś, czego początkowo nie mogłem zrozumieć. Otóż na jezdni stały duże wozy konne, wypełnione kotłami z gorącą zupą i koszą oraz chlebem wypiekany w forcie. Obok stali żołnierze w zielono-szarych furażerkach na głowach, odziani w białe fartuchy i z chochlami w rękach. Do wozów ustawiały się kolejki mieszkańców Powiśla z różnymi naczyniami na tę zupę i z koszykami na chleb. Każdy kolejkowicz otrzymywał jedną-dwie chochle zupy oraz jeden bochenek chleba. Do któregoś z tych kolejek chciałem dołączyć i ja. Od kilku dni nie jedliśmy ciepłej strawy, bo nie bardzo było co gotować. Ostatni chleb trzymaliśmy w rękach dwa tygodnie temu. Ale ledwie uczyniwszy krok zostałem ostro skarcony przez Mamę i przywołany z powrotem. Wtedy usłyszałem jej słowa – „To są Niemcy. Od niemieckich zbrodniarzy niczego się nie bierze – żebyś pamiętał o tym synku do końca życia”. Po czym wskazała ręką na grupkę ludzi w niemieckich mundurach z aparatami fotograficznymi w rękach, stojących w pobliżu wozów z zupą i chlebem. Kiedy do tych wozów podchodził stary czło-

wiek, dziecko lub kobieta w nędznym odzieniu, aparaty szły w ruch i szwabki dokonywały zdjęć. Wtedy dokładnie zrozumiałem o co Niemcom chodzi – przecież to naród panów „pomagał” podbitemu narodowi sług.

Pobrawszy wodę z Wisły wróciliśmy do domu, nadal głodni, ale i dumni. Następnego dnia Mama po raz ostatni poszła do pracy w redakcji „Czasu”. Właśnie wyszedł ostatni numer gazety z wiadomościami o kapitulacji Warszawy. Tę jednostronicową płachtę Mama i kilku innych pracowników redakcji i drukarni naklejali na murach domów.

W kilka dni później na słupach ogłoszeniowych oraz na murach niektórych bardziej okazałych domów Powiśla Niemcy porozklejali afisze propagandowe. W tle palących się i zbombardowanych domów, na ulicy leżały ludzkie trupy i wleki się o kulach ranni. Na dole afisza był napis dużymi literami: „Anglio, to twoje dzieło”. Ale Polakom nie trzeba było wskazywać Anglików jako sprawców ich zniszczenia. Przecież jeszcze nie ostygły pogorzeliska i nie stężały gruzy, jeszcze nie osiadły mogiły i nie zablizniły się rany zadane Polakom przez Niemców we wrześniu 1939 roku.

Kolejnym krokiem okupantów w paśmie ich planowanych działań dla złamania polskiego ducha było ogłoszenie nakazu zdania wszystkich radioodbiorników do komisariatów policji. Wraz z nakazem podano do wiadomości ostrzeżenie, że za słuchanie radia i nielegalne jego posiadanie grozi kara długoletniego więzienia. W szczególnych przypadkach zbiorowego słuchania uczestnicy będą karani śmiercią. Nie lekceważąc tych gróźb Mama zdecydowała się zdać posiadany przez nas radioodbiornik „Telefunken”. Ze sprzętem pod pachą udaliśmy się do siedziby I Komisariatu Policji, który mieścił się przy ul. Bednarskiej róg Dobrej. Po zdaniu odbiornika otrzymaliśmy pokwitowanie. Na odchodnym, w komisariacie, Mama dostała przestrożę, żeby to ten kwit starannie przechowywać, bo może on uratować jej życie, kiedy Niemcy będą przeprowadzać rewizję w mieszkaniu.

W miejsce zlikwidowanych polskich gazet oraz skonfiskowanych aparatów radiowych, jako jedyne źródło informacji dla Polaków, Niemcy stworzyli całkowicie zależny od nich polskojęzyczny dziennik pt. „Nowy Kurier Warszawski”. Z tego dziennika dowiedzieliśmy się, że nie ma Polski. Jest Generalne Gubernatorstwo ze „stolicą” w Krakowie, uznanym przez Niemców za „Uhr Deutsche Stadt”.

Pod koniec października 1939 roku na ulicach Powiśla rozlepiono ręcznie pisaną informację, iż w szkołach powszechnych zostanie wznowiona nauka przerwana na skutek działań wojennych. Zapanaowała radość. Oznaczało to bowiem, że życie bierze górę nad naszym losem.

Po stromych drewnianych schodach, łączących dolną część ul. Karowej z jej częścią górną, wdrapywałem się mozolnie z tornistrem na plecach i workiem z kapturami w rękę. Przed budynkiem Karowa 18, mieszczącym szkołę powszechną nr 38, w jezdni był ogromny lej po bombie, na którego dnie stała woda. W szkole niektóre okna zabite dyktą, inne opatrzone kawałkami szyb. W środku zimno, wszak to początek listopada, a sale nie ogrzewane. Ale są nauczyciele ubrani w ciepłe okrycia jesienno-zimowe. I jest polskie słowo, głoszone do polskich dzieci. Przecież mimo tylu przeciwności uczyliśmy się w naszej szkole.

Moje pójście do szkoły stanowiło dla Mamy pewną ulgę w sprawowaniu rozlicznych obowiązków domowych. Pracowała ciężko jako kelnerka w kawiarence otwartej przez byłych pracowników dziennika „Czas”, we frontowych pomieszczeniach redakcji przy Szpitalnej 12. Po 12-14 godzinach wracała do domu, pokonując oprócz zmęczenia strach, czy aby zdąży przed godziną policyjną. I do tego z obawą, co w tym zastanie. Martwiła się, co nam dać jeść, czym ogrzać mieszkanie, skoro nie było zapasów węgla i drewna do palenia w kaflowej kuchni. Czym oświetlać mieszkanie wieczorem, gdy nie było elektryczności, gdy nie można było kupić nafty do lampy ani świec. A kiedy się pokazały w sprzedaży, to po takich cenach, że o nabyciu tych dóbr można było tylko pomarzyć.

Patrząc na zmęczoną, zmarzniętą Mamę i wiedząc, jakie ją gryzą troski, było mi jej strasznie żal. Chciałem pomagać, ale nie wiedziałem jak. Nie umiałem tego robić, ale też nie miałem na tyle sił i hartu, aby pomoc ta mogła być zauważalna. Bardzo chciałem wówczas być dorosłym, lecz nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak każdy okupacyjny dzień skraca czas i przybliża tę dorosłość.

Po kilku dniach nauki, w czasie lekcji do klasy weszła pani kierowniczka szkoły w towarzystwie niemieckiego oficera i jakiegoś cywila, też chyba Niemca, który był tłumaczem. Oznajmiła nam, że dalszej nauki tutaj nie będzie. Budynek szkoły zostanie bowiem zajęty przez niemieckie wojsko na jego potrzeby. O tym kiedy i gdzie będzie wznowiona nauka zostaniemy oddzielnie powiadomieni. A teraz mamy spakować nasze przybory i najkrótszą drogą iść szybko do domów. Mamy prosić rodziców, żeby się naszą nauką zajęli.

Skuleni i zapłakani wychodziliśmy wygnani z naszej szkoły przy Karowej 18, do której już nigdy w życiu nie powróciliśmy. Tak rozpoczęła się wieloletnia tułaczka szkoły powszechnej nr 38. Następną jej siedzibą stał się budynek przy ul. Dobrej nr 56. Mieściła się tu już szkoła powszechna nr 36. Ulokowanie tak wielu uczniów w jednym budynku spowodowało, iż nauka odbywała się na 2 zmiany. Młodsze dzieci uczyły się rano i przed południem, starsze po południu do wczesnego wieczora. Później była już godzina policyjna.

W grudniu 1939 roku Niemcy wygnali uczniów z budynku na Dobrej, przekształcając go w szpital wojskowy. Przenieśliśmy się do szkoły nr 41 przy ul. Drewnianej 8, skąd wiosną 1940 roku przeniesiono nas do budynku przy ul. Barokowej na Starym Mieście.

Zima z 1939 roku na 1940 roku przysłała wcześniej. Już w listopadzie spadł obfity śnieg, ścięty przez ostry, ponad 20 stopniowy mróz. W grudniu temperatura jeszcze spadła osiągając  $-30$  stopni i stan taki utrzymywał się aż do wiosny. W tym czasie pojawili się w Warszawie mieszkańcy Wielkopolski, zwani potocznie Poznaniakami, których Niemcy masowo wysiedlali z ich domostw, dając im 1 godzinę na zabranie podręcznych bagaży. Jedna z takich rodzin zamieszkała w domu przy Furmańskiej 13 u swych krewnych.

Dla uwięzionych mieszkańców Warszawy nastały jeszcze cięższe czasy. Niemcy nie pozwolili ha dowóz węgla do miasta, ograniczyli znacznie podaż drewna oraz korzystanie z energii elektrycznej do 4 godzin wieczornych dziennie. Za używanie piecyków elektrycznych groziło całkowite wyłączenie prądu i wysoka kara oraz konfiskata tego piecyka. Znajdujący się w naszym domu sklep opałowy został zamknięty przez właściciela z braku towaru. W mieszkaniu było tak zimno, że woda w wiadrach zamarzała na znaczną głębokość. Coraz dotkliwiej dawał się odczuć brak żywności, bo panujący mróz spowodował naturalną blokadę dostaw ze wsi do miasta. Któż odważyłby się wieźć na przykład ziemniaki przy 30-stopniowym mrozie. Dla mojej Mamy ratunkiem przed głodem była praca w kawiarence na Szpitalnej, skąd mogła przynieść do domu niektóre produkty żywnościowe. Czasem były to tylko resztki z kuchni, pozostałe po klientach, ale lepiej było o tym nie pamiętać.

Sprawę opału pomógł częściowo rozwiązać brat Mamy, który na jesieni 1939 roku znalazł zatrudnienie w Zarządzie Zieleni Miejskiej przy usuwaniu z ulic i parków powalonych przez wojnę drzew. Dzięki jego staraniom i zdobyczom na dziecinnych saneczkach przeciągaliśmy kawałki pociętych pni z Parku Paderewskiego na Pradze do domu, gdzie rąbano je na drobne szczyпки do palenia pod kuchnią. W piecu pokojowym nie palono wcale. Inną, bardzo jednak ryzykowną formą pozyskiwania opału było chodzenie wzdłuż bocznic kolejowej, którą z Dworca Gdańskiego przewożono wagonami węgla do elektrowni na Wybrzeże Kościuszkowskie i zbieranie drobin węglowych do specjalnie uszytego w tym celu woreczka. Chodziłem na to zbieranie w tajemnicy przed Mamą, a kiedy dopatrzyła się w domu niewielkich garstek tego paliwa, to łąłem jak z nut, że zarobiłem od dobrych ludzi za udzieloną im pomoc na przykład w noszeniu wody. Ryzyko tego osobliwego zbieractwa polegało na tym, iż niemieccy strażnicy kolejowi tzw. Bahnschutze, pilnujący bocznic i transportów węgla, często strzelali do nas jako nielegalnych zbieraczy, czyli złodziei „niemieckiej własności”. Co odważniejsi zbieracze – a byli to z zasady chłopcy w wieku od 8 do 14 lat – potrafili w biegu wskoczyć na wagon i zrzucić nieco węgla na torowisko lub załadować go do torby jeszcze na wagonie. Do takich strażnicy strzelali z wielką gorliwością, czasem niestety z tragicznym skutkiem. Ja osobiście znam dwa takie przypadki. Jeden – to zastrzelenie chłopaka z ul. Zajęczej, drugi – to zranienie chłopca zamieszkałego na Browarnej. Ale te ludzkie tragedie nie odstraszały od dalszych kolejnych wypraw. Zimno i głód były silniejsze od stracha.

W takich to trudnych warunkach nadeszły pierwsze wojenne Święta Bożego Narodzenia. Były głodne i chłodne. Bez choinki, lecz tylko z małą świerkową gałązką, urwaną w ogrodach uniwersyteckich na Browarnej. Paliła się jedna świeczka i był opłatek na białej serwecie. Pod „choinką” znalazłem paczkę dla mnie, zawierającą wykonane na drutach nowe rękawiczki, jedno jabłko i 5 cukierków „raczków”. Boże, jak ja się cieszyłem z tej gwiazdki. Dla Mamy i babci zrobiłem po jednej chusteczce do nosa z wyhaftowanymi monogramami, co sprawiło im widoczną radość. Na pasterkę poszliśmy do kościoła Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu. Modliliśmy się gorąco o rychły koniec wojny, o wolną Polskę, o życie i zdrowie dla nas wszystkich – mając w sercu przypowieść obiegającą wówczas polską społeczność o tym, że „im słońcecko wyżej, tym Sikorski bliżej”.

Pamiętna swą ostrością i długością zima 1939/40 zbliżała się do końca. Pojawiły się pierwsze zapowiedzi wiosny, tak oczekiwanej przez wszystkich Polaków. W tej przedwiosennej porze miało miejsce kilka zdarzeń, o których warto wspomnieć.

Któregoś dnia w czasie kolejnej wędrowki z Powiśla do szkoły na ul. Barokowej, na placu Krasieńskich oraz na ul. Długiej zauważyłem robotników budujących mur. Rósł w górę i wzdłuż z dnia na dzień, po czym jego część – ta bliżej placu Krasieńskich została rozebrana. Ale mur pojawił się ponownie nieco dalej, wzdłuż ul. Świętojerskiej i Bonifraterskiej, po czym przekroczywszy Muranowską dotarł do Pokornej. Ja i moi szkolni koledzy zachodziliśmy w głowę, co też te szwaby znowu wymyśliły. Moja Mama też nie wiedziała co to znaczy. Po kilku dniach wszystko się wyjaśniło. Otóż Niemcy wygrodzili murem znaczną część Warszawy, aby utworzyć dzielnicę przeznaczoną wyłącznie dla Żydów zwaną gettem. Rozpoczęło się przemieszczanie ludności polskiej (zwanej w tym przypadku przez Niemców – aryjską) z terenu getta do innych dzielnic Warszawy. Z kolei ludność żydowską (zwaną przez okupanta – niaryjską) z całej stolicy przesiedlano do getta. Odbywało się to pod przymusem niemieckiego okupanta i pod groźbą kar – do kary śmierci włącznie – dla oponentów. Wszystko pod ostrą, ścisłą kontrolą zarówno niemieckiej policji i żandarmerii, jak też policji warszawskiej utworzonej przez

Niemców ze znacznej części przedwojennej Policji Państwowej. Od koloru mundurów zwano ją potocznie „granatową policją”. Na okrągłych czapkach z okutym daszkiem nosili tarcze z herbem Warszawy, Syreną, zaś na kieszeni bluzy lub płaszcza okrągły znaczek z numerem służbowym. Strój dopełniały wysokie, czarne buty, zwane oficerkami. Byli wyposażeni w pałki i pistolety typu „Nagan” z prawem ich użycia we wszystkich przypadkach naruszenia porządku ustanowionego przez okupanta, w myśl jego hasła „Ordnung muss sein”.

Dziecięca pamięć jest bardziej ostra niż ludzi dorosłych i zdarzenia przechowuje prawie w niezmiennym przez czas obrazie. Miałem możliwość przyjrzeć się policjantom w różnych akcjach. Jedna z nich miała miejsce w czasie przymusowych przesiedleń Żydów do getta. W naszym domu na Furmańskiej na pierwszym piętrze, w lokalu nr 20, mieściła się żydowska bożnica (miejsce zbiorowej modlitwy). Pewnego dnia przybył patrol policyjny, aby sprawdzić ilu Żydów jeszcze tam przychodzi. Wówczas było ich tam kilkunastu, głośno się modlili odziani w rytualne szaty i kiwający się monotoniem. Nie bacząc na te modły, policjanci siłą ich wyprowadzali. Ci krzyczeli i rzucali się bezradnie po pomieszczeniu, nie chcąc wychodzić. Na ten moment zbiegło się wielu mieszkańców naszego domu, żeby zobaczyć co się dzieje, wśród nich i ja. Zarówno modlący się, jak i gapie zostali potraktowani jednakowo przez policyjny patrol. Ja oberwałem dwa razy pałką i uciekłem. Ale to, co wtedy widziałem i przeżyłem, pozostało w mojej pamięci.

Innym wydarzeniem tego czasu były przygotowania nas dzieci – ośmiolatków i dziewięciolatków do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. Naszym księdzem był salezjanin z Zakładu Wychowawczego dla Chłopców, mieszczącego się przy ul. Lipowej, w skład którego wchodził także kościół św. Franciszka Salezego przy ul. Księdza Siemca (Wiślanej). Niemcy zezwolili na organizowanie takich uroczystości religijnych jak śluby, chrzty czy pierwsza komunie św. pod warunkiem, że będą się one odbywały w kościołach. Zezwalali również, aby w ramach zajęć szkolnych odbywały się obowiązkowe lekcje religii wyznania rzymsko-katolickiego, prowadzone przez księży.

Przygotowanie nas do uroczystości pierwszokomunijnych przebiegały zgodnie z przyjętym planem. Okazało się jednak, iż Zakład i Kościół były pod stałą niemiecką obserwacją. Gestapo podejrzewało, że prowadzono tam konspiracyjną działalność antyniemiecką. Nie chcąc narażać dzieci przygotowujących się do I Komunii i ich rodziców na niemieckie szykany, ksiądz prefekt zdecydował się przenieść wszystko w zupełnie inne, odległe miejsce. Jako miejsce komunijnej uroczystości wybrano kościół Pijarów pod wezwaniem św. Marcina na ul. Piwnej na Starym Mieście, zaś jeden z budynków klasztornych przylegających do kościoła jako miejsce uroczystego śniadania.

Owego majowego dnia 1940 roku do kościoła na Piwnej szły dzieci do I Komunii Św. wraz ze swymi matkami. Ich ubiory były bardzo skromne, białe bluzki lub koszule, granatowe spódniczki lub krótkie spodenki. Na to nałożone płaszcze lub swetry – nie tylko ze względu na panujący tego dnia chłód, ale także aby nie rzucać się w oczy. Sama uroczystość i jej przebieg zatarły się w mojej pamięci. Natomiast pamiętam doskonale, jak wyglądało śniadanie. W jednej z klasztornych sal, bardzo wysokiej i długiej, stały drewniane stoły z grubymi blatami i skrzyżowanymi nogami, a obok drewniane ławy. Stoły nie były niczym przykryte. Żadnych serwetek czy obrusów nie było. Na drewnianych blatach ustawiono talerzyki z jedną maślaną bułką na każdym z nich oraz fajansowe kubki z gorącym kakao. Skąd nasi rodzice – w tym moja Mama – zdobyli te przysmaki nigdy się nie dowiedziałem, mimo moich dociekliwych pytań.

Też w wiosny Niemcy rozpoczęli instalowanie w wielu punktach Warszawy ulicznych megafonów, z których w określonych godzinach dnia nadawali komunikaty wojenne Naczelnego Dowództwa. Ja pamiętam takie 3 miejsca. Były to słupy latarni lub trakcji elektrycznej tramwajów przy Krakowskim Przedmieściu obok skweru Hoovera, przy Rynku Starego Miasta u wylotu Wąskiego Dunaju oraz przy Placu Teatralnym naprzeciw głównego wejścia do Ratusza.

Każda „audycja” rozpoczynała się od pierwszych taktów marsza Radetzkiego, po czym męski głos z megafonu po polsku informował: „Tu Kraków i wszystkie rozgłośnie Generalnego Gubernatorstwa”. Następnie podawano wiadomości z frontu. Po podboju Norwegii, Niemcy w czerwcu 1940 roku uderzyli na Francję i pokonali ją w ciągu kilku tygodni. Nikt nie chciał wierzyć, że Francja, sojusznik Polski, zwycięzca z I wojny światowej zostanie tak szybko zawładnięta przez Niemców. Wieści płynące z megafonów – zwanych potocznie „szczekaczkami” – przyjmowano z pełnym niedowierzaniem, jako przejaw niemieckiej propagandy. Jednak z upływem czasu to niby propagandowe kłamstwo stało się okrutną prawdą. Padła Francja. Zachwiała się wiara Polaków w klęskę Niemiec. Pozostała Anglia jako ostoja naszych nadziei na zwycięstwo w tej wojnie.

O tym wszystkim mówili głośno, najczęściej w domu, dorośli, ale dzieci słuchały. Stąd wiedziały one co się dzieje na świecie i miały z tego powodu swoje własne dziecięce zmartwienia. Wiele z tych dzieci oczekiwało przecież na powrót do domu swoich ojców, braci, dziadków, którzy znaleźli się w niemieckiej lub sowieckiej niewoli. Wielu moich rówieśników osobiście przeżywało te rodzinne dramaty, których skutki tak ciężko zalegały na ich życiu. Samotne matki nadal spełniały z wielkim mozolem swoje trudne obowiązki opiekuńczo-wychowawcze. W tym okresie Mama znalazła pracę w wielkich

zakładach pralniczych „Asko-Opus” przy ul. Chłodnej. Zakłady te obsługiwały niemiecki garnizon wojskowy w Warszawie. Była to bardzo ciężka praca, ale dawała złudne poczucie bezpieczeństwa, bowiem pracownikom pralni Niemcy wydali specjalne przepustki chroniące przed aresztowaniem.

## Nowe zagrożenia

W czerwcu 1941 roku Niemcy napadły na Związek Sowiecki i w szybkim tempie opanowały jego terytorium. Wydawało się, że już nic ich nie powstrzyma i że zdobędą cały świat. Śpiewali o tym żołnierze, maszerujący na żoliborską lub bielańską strzelnicę z koszar, jakie sobie zrobili z Uniwersytetu Warszawskiego, naszej szkoły na Karowej i innych miejsc. Jednak w miarę upływu czasu opór sowiecki wzrastał się. Już nie tylko bronili się, ale też i atakowali. Jedną z form ataku były naloty lotnictwa sowieckiego na niemieckie obiekty strategiczne, do których zaliczała się także i cała Warszawa. Od połowy 1942 roku Sowieci coraz częściej bombardowali miasto, szczególnie w nocy. Nasza rodzina, mieszkająca w pobliżu ważnych dla frontu mostów przez Wisłę, miała szczególne powody do obaw o swe życie. Przecież mieliśmy za sobą gorzkie doświadczenia z niemieckimi nalotami na Warszawę we wrześniu 1939 roku.

Te przewidywania niestety sprawdziły się. Którejś nocy w czasie kolejnego nalotu bomby trafiły w nasz dom na Furmańskiej. Poczyniły także spustoszenia w innych miejscach Powiśla – na Topiel, Browarnej, Sowiej. Wyglądało na to, że lecący wzdłuż Wisły sowiecki pilot zrzucił po kolei swoje śmiertelne ładunki, bowiem wymienione powyżej ulice składały się na ciąg komunikacyjny równoległy do biegu Wisły. W wyniku wybuchu co najmniej dwóch bomb zawałała się część oficyny domu na Furmańskiej 13. Nasze mieszkanie na szczęście ocalało, ale wiele sprzętów na skutek podmuchu fali uderzeniowej uległo zniszczeniu. Rozpadła się kafłowa kuchnia, wyleciały wszystkie szyby w oknach. Przy niedostatecznej ilości pieniędzy na życie i ograniczone zakupy kartkowe, moja Mama musiała jeszcze znaleźć środki na odbudowę tych zniszczeń. Pracowała wówczas jako laborantka w przychodni rentgenowskiej w Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Juliana Kotowicz-Smulikowskiego 4, obsługując aparaty do prześwietleń płuc i innych narządów.

W tym czasie Niemcy wprowadzili kontyngenty ludzkie dla poszczególnych gmin i powiatów na wysyłki polskich rolników do przymusowych prac w Rzeszy. Niemieckie gospodarstwa rolne pozbawione mężczyzn wcielonych do wojska, nie dawały określonych planowo zbiorów. Tę lukę wypełniali polscy robotnicy przymusowi. Na drodze do Niemiec ustalono punkty etapowe w formie obozów przejściowych zwanych po niemiecku Durchlager, w których ze zwożonych robotników rolnych tworzone grupy mniej więcej po 50 osób. Taki obóz przejściowy w Warszawie znajdował się w pobliżu Dworca Wschodniego, przy ul. Skaryszewskiej, w budynku przedwojennego zespołu średnich szkół zawodowych. Przed wysyłką do Rzeszy każdy przymusowy robotnik musiał być zbadany przez komisję lekarską, której orzecznictwo oparte było między innymi na wyniku prześwietleń płuc. Do wykonywania tych zdjęć Niemcy wskazali przychodnię na Smulikowskiego. Ludzi do badań przywożono tu ze Skaryszewskiej 6 tramwajami, eskortowanymi przez uzbrojonych żandarmów. Tak się szczęśliwie składało dla Niemców, że przy skrzyżowaniu ulic Targowej z Zieleniecką i Zamojskiego, a więc bardzo blisko Skaryszewskiej, znajdował się tor awaryjny dla tramwajów, które w czasie jazdy po mieście uległy uszkodzeniu. Drugi taki tor awaryjny znajdował się na Solcu przy zbiegu z Czerwonego Krzyża, a więc nieopodal ul. Smulikowskiego. Tak więc Niemcy wykorzystali tę sprzyjającą im konfigurację do przewozu przymusowych robotników rolnych na badania ze Skaryszewskiej na Smulikowskiego przy użyciu warszawskich tramwajów, nie zakłócając ich normalnego funkcjonowania dla przewozu pasażerów po mieście.

Mama miała wówczas początki gruźlicy (o czym dowiedziałem się znacznie później). Za odpowiednią opłatą – jaką, nie mam pojęcia – zgadzała się podstawić swoje płuca za płuca człowieka, który miał jechać na roboty do Niemiec. Robiła to dla mnie. Z pracą Mamy w Ubezpieczalni Społecznej miałem bezpośredni związek. Udało mi się znaleźć prywatną piekarnię, z której mogłem brać na kredyt białe bułki paryskie. W naszym mieszkaniu babcia gotowała miętowo-jarzębinową herbatę słodzoną sacharyną, którą nalewała do małych 100 mililitrowych butelek po wódce. Z bułkami pobranymi z piekarni około godziny 6-tej rano oraz z herbatą szedłem do Ubezpieczalni na Smulikowskiego, gdzie sprzedawałem je przywożonym na badania ludziom. Około godziny 9 rano, gdy skończyły się już badania, wracałem do domu, zbierając puste buteleczki oraz po drodze rozliczając się z piekarzem z pobranych od niego bułek. Nie był to duży zarobek, ale dla mnie i mojego domu dość znaczący. Handlowałem również niemieckimi papierosami Juno, Haudegen i Möwe, które kupowałem od handlarzy-hurtowników w okolicach mariensztackiego rynku. Sprzedawałem je na Krakowskim Przedmieściu w pobliżu „szczekaczki”. Do oferowania papierosów miałem specjalnie przygotowaną małą walizeczkę z przerobionego nesesu Mamy. Moją działalnością handlową objęte były także owoce i warzywa przywożone galarami z okolic Sandomierza. Trzeba tu dodać, iż złapany przez Niemców lub „polską” policję

handlarz był natychmiast doprowadzony do komisariatu. Tam dostawał tęgie lanie pałkami, znalezione przy nim towary były konfiskowane, a jego rodzice musieli zapłacić wysoką grzywnę pieniężną. Całe zdarzenie zapisywane było w policyjnej ewidencji. Kilkakrotne powtórzenie się handlu, który był nielegalny, mogło spowodować wysyłkę jednego z rodziców do obozu koncentracyjnego. Trzeba było bardzo uważać i szybko uciekać, żeby nie dać się złapać.

Kiedy możliwość handlu znacznie się zmniejszyła, by wreszcie zniknąć zupełnie z powodu zbyt wielkiego ryzyka, pozostawało poszukiwanie żywności w inny sposób. Za zgodą Niemców, lecz z polskiej inicjatywy, powstała „nieniemiecka” (bo nie wolno było używać słowa Polska) organizacja społeczno-charytatywna pod nazwą Rada Główna Opiekuńcza – RGO. Skupiała ona licznych przedstawicieli aktywnego polskiego społeczeństwa z różnych jego sfer. Organizacja ta postawiła sobie za cel udzielanie pomocy materialnej rodzinom biednym, w tym szczególnie pozbawionym głowy rodziny (ojca, męża). Dzięki staraniom Mamy uzyskałem kartki obiadowe RGO do zrealizowania w różnym czasie, w różnych, dokładnie określonych punktach żywieniowych. Punkty, z których mogłem skorzystać mieściły się w następujących miejscach, zwanych popularnie garkuchniami: w ogródku jordanowskim na Wybrzeżu Kościuszkowskim, tuż przy wiadukcie linii średnicowej, w zespole klasztornym Św. Kazimierza na Tamce i w budynkach klasztornych siostr Kanoniczek na Placu Teatralnym.

Otrzymywało się jeden ciepły posiłek obiadowy dziennie. Była to zupa ziemniaczana, brukwiowa lub makaronowa zaprawiona cebulą smażoną na oleju. Czasem do tych zup dodawano kromkę chleba, na którą nałożono jedną łyżkę marmolady z buraków. Znaczną część surowców RGO otrzymywała od Spółdzielni Spożywców „Społem”, której magazyny mieściły się na ul. Hożej nr 51. Kierownictwa tych garkuchni prosiły ludzi spożywających w nich posiłki, aby pomagali w transporcie surowców ze „Społem” do garkuchni. Wiele razy uczestniczyłem w takiej pomocy. Podobnie czyniło wielu innych stołowników, odwiedzając się za darmowe posiłki.

W połowie 1942 roku moja Mama wyszła po raz drugi za mąż. Uznała, że jest jej coraz trudniej radzić sobie samej z utrzymaniem domu i moim wychowaniem. Ojczym pracował w Kolejowych Zakładach Naprawczych Ostbahn na Pelcowiznie. Wieczorami dorabiał grając na gitarze w kilkuosobowym zespole orkiestrowym, koncertującym w różnych lokalach gastronomicznych Śródmieścia i Starego Miasta. Przypuszczam, że poznali się przy wykonywaniu jakiejś pracy konspiracyjnej, bowiem od czasu ślubu i zamieszkania ojczyma z nami na Furmańskiej zaczęły pojawiać się w mieszkaniu różne nieznane mi osoby. Wnoszono i wynoszono jakieś paczki, sortowano i układano wydawnictwa podziemne. Czasem wśród tych materiałów trafiłem na „Biuletyn Informacyjny”, który czytałem z zapartym tchem i odkładałem później dokładnie w to samo miejsce. Wtedy to zaczęły do mnie docierać wiadomości o losach Polaków schwytych przez Niemców na konspiracyjnej robocie, o torturach w siedzibie Gestapo na Szucha, o więzieniu na Pawiaku i wysyłaniu stamtąd do obozów koncentracyjnych lub wywożeniu na rozstrzelanie.

Obserwując działalność konspiracyjną Mamy i Ojczyma poczułem swoje i ich wielkie zagrożenie. Pojawił się strach co będzie, gdy nie daj Boże wpadną Niemcom w łapy. Mimo trudnych warunków życia i jego stałego zagrożenia Mama postanowiła, że oprócz nauki w legalnej szkole będę chodził na tajne komplety z przedmiotów, których nie było w niemieckich programach nauczania. Głównie chodziło tu o wielką polską literaturę, historię Polski oraz geografii Polski i Świata. Te tajne komplety organizowali i prowadzili nasi nauczyciele, którzy znali nas i naszych rodziców i byli nas pewni. W skład kompletu nie wchodziło nigdy więcej niż pięcioro uczniów, a omawianych zagadnień uczono się na pamięć – bez robienia notatek. Odbywały się one najczęściej w mieszkaniach nauczycieli, czasem w naszych lokalach, lecz zawsze po uprzednim sprawdzeniu warunków bezpieczeństwa w danym dniu. Pamiętam, że niektóre zajęcia mieliśmy u pana Kazimierza Suskiego przy ul. Czerwonego Krzyża nr 16. Był on wychowawcą naszej klasy w szkole powszechnej nr 38 oraz uczył matematyki u pana Władysława Kielczewskiego, w jego mieszkaniu przy ul. Dobrej 75.

Z wielkim szacunkiem i uznaniem wspominam tych wspaniałych ludzi, którzy nie bacząc na okoliczności i ewentualne skutki prowadzonego przez nich tajnego nauczania – dzieło to kontynuowali aż do czerwca 1944 roku, tj. do końca roku nauki, po którym przyszło Powstanie Warszawskie. Godnym podkreślenia jest, iż robili to całkowicie bezinteresownie. Z tej ich pracy pozostały u mnie wyuczone i zapamiętane do dziś na przykład obszerne fragmenty „Pana Tadeusza”.

Utworzenie getta poprzedzone było wyodrębnieniem z całości miasta kilku enklaw przeznaczonych wyłącznie dla Niemców. Umiejscowiono je wyłącznie na lewym brzegu Wisły. Były to: dzielnica rządowa – rejon placu Józefa Piłsudskiego z takimi obiektami jak Pałac Saski Pałac Brühla, Pałac Blanka, Komenda Garnizonu Warszawskiego, hotele Europejski i Bristol; „dzielnica policyjna” – rejon między Placem na Rozdrożu a Placem Unii Lubelskiej i Placem Zbawiciela; dzielnice mieszkalne – zlokalizowane w okolicach ul. Rakowieckiej na Mokotowie Cichej i Dynasów na Powiślu oraz Cecylii Sniegockiej i Rozbrat w dolnej części Śródmieścia zwanej bliskim Czerniakowem. Z dzielnic tych wysiedlono wszystkich Polaków (pozostać mogli tylko volksdeutsche). Na ich miejsce wprowadzono Niemców ściągniętych całymi rodzinami z Reichu.



Wyłącznie dla Niemców przeznaczono jedną linię tramwajową o symbolu „o”, krążącą wokół Śródmieścia. W związku z tym po Warszawie wędrował dowcip: „Kiedy jest największy smród w Warszawie? Gdy na ulicy spotykają się dwa zera”. Z kolei dla Żydów w obszarze getta uruchomiono specjalną, wyłącznie dla nich, linię tramwajową oznaczoną na tarczy sześcioramienną gwiazdą Dawida. Tramwaj ten w zasadzie nie wyjeżdżał na ulice poza getto.

Nabierające zaciętości i rozległości walki na froncie wschodnim spowodowały, że na terenie Warszawy Niemcy utworzyli szereg szpitali dla rannych lub odmrożonych żołnierzy. Transporty z mmi dojeżdżały koleją do Dworca Wschodniego, a stamtąd rannych rozwożono do szpitali tramwajami na przykład na Dobrą czy na Solec. Bez względu na ich przeznaczenie wszystkie tramwaje były obsługiwane przez motorniczych i konduktorów Polaków. Wyjątek stanowiła tu grupa super kontrolerów przewozów pasażerskich, składająca się wyłącznie z Niemców. Po mieście poruszali się oni tylko przeznaczonym dla nich tramwajem oznakowanym tablicą „Sonderwagen”. Zatrzymywali się na bocznicach torowisk, których wiele znajdowało się w całej Warszawie. Stamtąd operowali w zespołach 2-4-osobowych. Zatrzymywali zwykle tramwaje najczęściej między przystankami, na wiaduktach i mostach, zmniejszając szansę ucieczki pasażerów, którzy jechali bez biletu. W czasie niemieckiej okupacji jazda bez biletu była punktem honoru pasażerów-Polaków. Trzeba jednak zaakcentować, że złapany przez kontrolerów ponosił szereg sankcji: musiał wnieść wysoką opłatę karną w gotówce, jeśli nie miał gotówki na opłaty karne to kierowany był do więzienia śledczego przy ul. Daniłowiczowskiej, gdzie poddawany był przesłuchaniom nawet przez tydzień, w skrajnych przypadkach, o które nie było trudno, delikwent mógł wyładować nawet na Pawiaku, skąd mogła go wykupić rodzina za duże pieniądze.

Dość tu należy, że pasażer niepełnoletni, oprócz kary pieniężnej, otrzymywał jeszcze dwadzieścia batów wymierzonych mu przez rzeczonych niemieckich kontrolerów w wagonie z tabliczką „Sonderwagen”.

Moje wielokrotne uniki niestety raz, na szczęście tylko jeden raz, zakończyły się taką właśnie wpadką. Zostałem złapany, doprowadzony do tegoż specjalnego wagonu, otrzymałem dwadzieścia batów rzemiennych na dolną część korpusu, zaś do Mamy na adres domowy wysłano odpowiednią informację pisemną. Ten przykry incydent wydarzył mi się na bocznicy przed kościołem Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu w czasie jazdy „na gapę” do szkoły na Barokową. Od tego momentu, nie chcąc wywoływać wilka z lasu, drogę do szkoły przebywałem na piechotę wraz z kilkoma moimi kolegami.

Rozwój sytuacji wojennej na frontach stawał się niekorzystny dla Niemców. Komunikaty wygłoszone przez „szczekaczki” podawać zaczęły takie zwroty jak: „skracanie frontu”, „przejście na z góry upatrzone pozycje”, czy „planowe opuszczenie miejscowości”. Mój wujek (brat Mamy) zaczął zbierać informacje wojenne z różnych źródeł, takich jak owe „szczekaczki”, „Nowy Kurier Warszawski” – zwany też „szmatławcem”, nasłuchu radiowego, który prowadzili niektórzy jego znajomi, czy też z „Biuletynu Informacyjnego”. Na mnie wujek nałożył obowiązek segregowania tychże, a następnie nanoszenia ich w formie chorągiewek na szpilkach na wielką ścienną mapę Europy. Na wypadek rewizji w domu wujek stosował na swej mapie chorągiewki niemieckie, tj.. na czerwonym tle biało-czarny krzyż z białym kołem, zawierającym czarny znak swastyki. Chorągiewki wymalowałem ja sam. Muszę z zadowoleniem powiedzieć, że ten kamuflaż był doskonały. Na mapie były same niemieckie chorągiewki, ale już na pierwszy rzut oka było wiadomo skąd one wzięły się na swoich miejscach. Przez cały czas naszej geograficznej działalności (co najmniej 2 lata) na szczęście ani razu nie było u wujka nieproszonych gości w postaci granatowej policji czy gestapowców.

Przez prawie całą okupację głównym źródłem nędznego zaopatrzenia w żywność oraz w środki czystości, w tym szczególnie mydło, były kartki zwane po niemiecku „Lebensmittel kartę”, wydawane mieszkańcom przez władze okupacyjne oraz Zarząd Miejski w Warszawie z ważnością na każdy miesiąc oddzielnie. Podstawą wydawania kartek były książki meldunkowe prowadzone dla każdej posesji przez ich dozorców. Książki te zawierały dane osobowe każdego człowieka z terenu posesji. Dość często granatowa policja sprawdzała aktualności tych książek, porównując zapisy w nich zawarte ze stanem faktycznym w poszczególnych mieszkaniach. Każda różnica wynikająca z tego porównania kończyła się dla dozorczy co najmniej 24-godzinnym pobytem w komisariacie dla wyjaśnienia przyczyny. Czasem odwiedzali poszczególne lokale cywilni bądź mundurowi gestapowcy w towarzystwie policjantów. Zawsze przychodzili z dozorcą, aby sprawdzić konkretną osobę z nazwiska i imienia, ale także by dokładnie przeszukać mieszkanie, czy nie znajdują się w nim przedmioty bądź dokumenty świadczące o działalności „przeciwko niemieckiemu dziełu odbudowy”. Ten slogan można było znaleźć w większości dokumentów, jakie tworzyli niemieccy okupanci i rozpowszechniali wśród polskiego społeczeństwa. Takim antyniemieckim dokumentem mogła być na przykład fotografia członka rodziny głównego lokatora mieszkania w polskim mundurze wojskowym lub co gorsza oficerskim.

Spodziewając się takich wizyt, Mama usunęła z albumów wszystkie zdjęcia, które mogły budzić jakieś podejrzenia u Niemców. Dobrze się stało, że tak uczyniła, bowiem kilkakrotnie nasze mieszkanie było nawiedzane zarówno przez gestapo, jak też przez granatową policję. Każda taka wizyta stanowiła

wielki wstrząs psychiczny. Nigdy nie było do końca wiadomo czym może się ona skończyć. Czy tylko potwornym bałaganem po rewizji, który przecież można było uprzątnąć czy też wyprowadzeniem kogoś z obecnych i przewiezieniem w najlepszej sytuacji do komisariatu. Albo, co nie daj Boże, na Szucha lub na Pawiak, skąd często nie było już żadnego powrotu. Grozę tych gestapowsko-policyjnych najść potęgowało to, że dokonywane były najczęściej nocą, po godzinie policyjnej, kiedy wszyscy powinni być w domu.

Nadmiar strachu i niedostatek żywności oraz środków czystości powodowały liczne choroby, w tym skóry w postaci uczuleniowych wysypek, rozstrojów żołądka i różnego rodzaju nerwobólów. Niemcy bardzo bali się różnego rodzaju chorób epidemicznych, w tym szczególnie tyfusu plamistego. Ich propagandowy aparat stać było nawet na wierszyki drukowane na grubym papierze i rozklejane na klatkach schodowych domów. Treść jednego z nich zapamiętałem i przytaczam:

*Unikaj brudu, bądź zawsze czysty,  
brud to wesz, a wesz to tyfus plamisty.*

Pod wierszykiem znajdował się rysunek wielkiej wszy, co miało podkreślać wymowę tekstu. Przeciwdziałając epidemicznym chorobom Niemcy uruchomili szereg odswzalni odzieży i łaźni publicznych, zachęcając ludność Warszawy do korzystania z nich. Przybytki te zwano potocznie „mykwami”. Na terenie Powiśla znajdowały się między innymi w przyziemiu szkoły na Drewnianej 8, w budynku przedwojennej łaźni przy ul. Nowy Zjazd oraz takiej samej łaźni przy zbiegu Bednarskiej z Krakowskim Przedmieściem. Wstęp do „mykw” był bezpłatny, ule każda obecność kąpiącego się była rejestrowana w specjalnej książce prowadzonej przez personel obsługi. Wiele osób, w tym także i ja, korzystało z tej formy poprawy warunków higieny ciała, a czasem i odzieży, bowiem w większości warszawskich mieszkań nie było łazienek.

Duże zainteresowanie ewidencją zawartą w powyższych książkach wyrażała granatowa policja, a z niej szczególnie dzielnicowi poszczególnych rewirów mieszkalnych. Wiem o tym bezpośrednio od osób pracujących w „mykwach”.

Nader skromne przydziały żywności i środków czystości, w tym głównie mydła, mogły być uzupełniane na tzw. czarnym rynku. Rzecz jednak w tym, że szalała tam taka drożyzna, iż przeciętni mieszkańcy Warszawy zakupy czarnorynkowe traktowali jako ostatnią deskę ratunku. Szczególnie odnosiło się to do zakupów żywności pierzwej potrzeby, do której zaliczano głównie: białe pieczywo, rąbankę czyli mięso z kością i obrastającym je tłuszczem, słoninę, kaszę i mąkę. Cukier był przedmiotem marzeń i był zakupywany w drobnych ilościach wyłącznie na Święta Wielkanocy i Bożego Narodzenia. Do takich wyjątków zaliczały się też jajka naturalne, bo jak przygotować wielkanocną święconkę bez jej najważniejszej części? Niemcy wprowadzili na rynek „Generalnego Gubernatorstwa” szereg substytutów artykułów żywnościowych. Wśród nich znalazły się jajka w proszku, tłuszcz sztuczny zwany „ceres”, miód sztuczny i inne. W znacznym stopniu mięso wieprzowe i wołowe zastąpiono końskim, które dobrze przyrządzone nie ustępowało innym rodzajom, ale za to było znacznie tańsze nawet na czarnym rynku. Należy tutaj dodać, iż bydło i trzoda chlewna hodowane na wsi objęte były ścisłą ewidencją, prowadzoną przez szefów powiatów (kreisleiterów). Młode krowy i świnie po urodzeniu były kolczykowane. Takie kolczykowane zwierzę było przeznaczone na kontyngent, tj. obowiązkową odstawę „Nur für Deutsche”. Za przeznaczenie go na inne cele, na przykład na ubój czarnorynkowy, gospodarzowi groziła poważna kara pieniężna, a nawet wywózka na przymusowe roboty do Niemiec. Połowę należności za odstawione w ramach kontyngentu było polscy chłopcy otrzymywali w naturze – w wódce, papierosach, soli i zapalkach. Czasem także w nafcie do oświetlenia mieszkań. Dowiedziałem się o tym wszystkim na czarnym rynku od szmuglerów (osób nielegalnie przewożących produkty żywnościowe ze wsi do miasta), bowiem od czasu do czasu Mama posyłała mnie na takie zakupy, licząc że małego dziecka przekupnie i szmuglerzy nie oszukają. Miała w tym wiele racji – odczułem bowiem przychylny stosunek tych ludzi do mnie.

Niedobór warzyw był uzupełniany przez uprawę każdego kawałka ziemi w obrębie Warszawy, który nie był zastrzeżony dla Niemców. Wszędzie gdzie tylko było to możliwe zakładano ogródki, siano, pielęgnowano i zbierano te warzywa, których zakup był bardzo utrudniony lub ceny były wysokie. Moja Mama takiego ogródka nie miała, ale od czasu do czasu wspomagali nas znajomi lub moi koledzy.

W tych trudnych – także i żywnościowo – czasach, pewnej pomocy, najczęściej w gotówce, udzielała nam siostra mego śp. ojca, ciocia Helena. Była wyuczona w zawodzie, doskonałą farbiarką (dziś jest to zawód nieomal nieznany). Ponadto wykonywała sztuczne kwiaty, które były sprzedawane w eleganckim lokalu sklepowym przy ul. Chmielnej. Była więc to, jak na owe czasy, osoba dość majątna. Z moją Mamą łączyło ją wiele sympatii, a nawet przyjaźni, lecz Mama wzdragała się przed przyjmowaniem od cioci pomocy. Dopiero naleganie, że to przecież dla Marysia (tj. dla mnie) czasami kończyło się przyjęciem tej pomocy.

O tym, że w czasie okupacji niemieckiej nikt nie był panem swego losu przekonała się także ciocia Helena. Mieszkała ona na Solcu nr 103, między ul. Czerwonego Krzyża a Tamką. Prowadziła tam

warsztat farbiarski i wyrób sztucznych kwiatów. Pewnego dnia dom został otoczony przez Niemców – policję i gestapo. Weszli na podwórze i próbowali dostać się do jednego z mieszkań na parterze w oficynie. Wtedy wywiązała się ostra strzelanina między nimi a mieszkańcami tegoż lokalu. Niemcy przypuścili prawdziwy szturm. Wszyscy Polacy zginęli od kul lub zostali ranni. Niemcy wynieśli zarówno rannych, jak i zabitych, po czym lokal kompletnie zniszczyli wywożąc uprzednio maszynę drukarską. Okazało się, iż w owym parterowym mieszkaniu i w piwnicy mieściła się drukarnia konspiracyjna. Po jej zlikwidowaniu Niemcy przeprowadzili szczegółową rewizję w całym domu. W następstwie zamknięto wszystkie warsztaty usługowe i sklepy, jakie były w tym domu oraz skonfiskowano ich wyposażenie. Ciozia Helena utraciła prawie cały sprzęt ze swego warsztatu, a od aresztowania wybroniła się dużą łapówką. Sama przeniosła się do innego zupełnie, czynszowego mieszkania, wynajętego w domu na Hożej. Tam rozpoczęła swój byt prawie od zera, tylko z niewielką sumą pieniędzy.

Mniej więcej w tym samym czasie przeprowadziliśmy się na Nowe Miasto na ulicę Przyrynek. Miało tam być bezpieczniej niż na Powiśle. Ale dla mnie było to zupełnie obce środowisko, nieznanne mi miejsce, nieznanymi dla mnie ludźmi. Nowe miejsce zamieszkania nie oznaczało jednak zmiany szkoły. Byliśmy do niej wówczas jakby przypisani.

Przypuszczenie, że bezpieczniejsze niż Powiśle było Nowe Miasto okazało się utopią. Tuż za ogromnym kompleksem Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych jawią się zielone, polne przyległości. Na ich tle, na żoliborskiej skarpie, tkwi jak cierń w zdrowym ciele zbudowana z czerwonej cegły przez Rosjan po upadku powstania listopadowego, ogromna Cytadela. Między nią a PWPW stoi Fort Legionów. Wokół fortu fosa i niemieckie posterunki wojskowe. Nieco dalej tory kolejowe Dworca Gdańskiego, dwa obok siebie leżące mosty – drogowy i kolejowy, ale tylko dla Niemców. Tuż obok bocznic kolejowa, którą wozi się węgiel do elektrowni. Między tym wszystkim rozstawione liczne baterie artylerii przeciwlotniczej, zwane potocznie FLAK. Na mostach duży całodobowy ruch wojska ze sprzętem na front wschodni bądź z frontu. W forcie funkcjonuje rusznikarnia jednostek SS i Policji. Sama PWPW najeżona bunkrami i posterunkami straży fabrycznej tzw. Werkschutzów. Sama cytadela także pełna Niemców. Jakies dwieście metrów na zachód od PWPW przy ul. Konwiktorskiej stadion sportowy, a na jego betonowych parkanach wielkie napisy „SS und Politzei Stadion”. Tam gdzie ul. Zakroczymska łączy się z ul. Wenedów i Krajewskiego, w gmachu dawnego gimnazjum im. J. Poniatowskiego koszary jakiejś jednostki SS. W dawnej szkole na Rybakach jest jednostka Własowców. Mój Boże, gdzie to bezpieczeństwo?! Nie ma go tu. Nie ma go w Warszawie. Nie ma go w całej Polsce podzielonej na Kraj Warty – Warthegau, Śląsk – Schlesien, Kresy – Ostland i tę resztę zwaną Generalnym Gubernatorstwem. Jak trudno się z tym pogodzić, zrozumieć, żyć. Ale jest coś polskiego, kojącego w tym morzu niemczyzny. Oto przy zbiegu Przyryнку i Kościelnej stoi piękny gotycki kościół p.w. Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny – moja nowa parafia. Obok niej Dom dla Starców i budynek plebanii. Piękna oaza ciszy i spokoju! Aż się wierzyć nie chce, że coś takiego może istnieć.

Poznaję więc dalej okolice nowego miejsca zamieszkania. Przy zbiegu Bolesć, Rybaków i Bugaju stoi fabryka środków do garbowania skór pod nazwą „Oubracho”. Do niej też wiedzie nitka bocznic kolejowej z Dworca Gdańskiego, biegnąca górnym tarasem Wisłostrady. Gdy podszedłem bliżej tego kompleksu budynków z czerwonej cegły i z wysokim kominem, poczułem cierpki smak jakiejś substancji. Wzdłuż bocznic sagi drewna liściastego, ale tuż za nimi potężne ogrodzenie z 2 wieżyczkami strażniczymi, na nich uzbrojeni Niemcy. Po fabrycznym placu krzątają się ludzie jakoś dziwnie ubrani – na poły w mundury, na poły w cywilne łachy. Dobiegają od nich głosy brzmiące śpiewnym językiem. Okazało się, że do obsługi tej fabryki Niemcy używali sowieckich jeńców wojennych. Ciężka praca za głodową stawkę żywnościową i nic więcej. Po kilku dniach wraz z dwoma chłopcami zamieszkałymi na Przyryнку udało mi się nawiązać kontakt z tymi Rosjanami. Dogadaliśmy się na migi, że za chleb i kartofle możemy od nich dostać piękne, zrobione z drewna zabawki: samoloty, karuzele, stukające w kowadła niedźwiedzie, obrotowe grzechotki, motyle z rozkładającymi się skrzydłami. Pierwsza próba przerzutu bochenka chleba i kilku ziemniaków za ogrodzenie fabryki udała się. Do nas nad parkanem przelatują zabawki i trzeba uważać, żeby się nie połamały. Druga próba nieudana. Niemcy z wieżyczki zauważyli co się dzieje, ściągają z pleców karabiny, mierzą do nas, strzelają – na szczęście niecelnie. Po kilku dniach ponawiamy próby. Jedne udane, drugie nie. My w trójkę sprzedajemy te zabawki na targowisku przy ul. Koźlej (na tyłach Szerokiej i Freta). Uzyskane ze sprzedaży pieniądze przeznaczamy na chleb i ziemniaki. Mimo licznych utrudnień handel wymienny z Rosjanami w niemieckiej niewoli kwitnie.

Jesienią 1943 roku Niemcy likwidują ten obóz pracy i zatrudniają polską załogę. Nie ma już Rosjan, nie ma handlu. Gdzie się podzieli Rosjanie, co Niemcy z nimi zrobili – nikt nie wie. Są natomiast dalej trudności z utrzymaniem się przy życiu. Nadal nie mogłem najeść się do syta, mimo że w rodzinie pracowało dwoje, a babci wystarczała emerytura po dziadku. Pojawiają się więc kolejne próby poprawy sytuacji. Jedną z nich jest hodowla królików. W obszernej piwnicy ojczym buduje klatki. Od większych hodowców na Rybakach i Bugaju kupiliśmy małe króliki. Pokarm dla nich zdobywam z targowiska warzywnego na Koźlej. Zdobynam w dosłownym znaczeniu, bo takich hodowców jak ja było tam wielu.

Niejednokrotnie o liść kapusty czy nać marchewkową trzeba było stoczyć krótką, nie zawsze zwycięską walkę z innymi hodowcami. Bardziej treściwy pokarm, szczególnie jesienią, zimą i wiosną nabywaliśmy w dużych składach pokarmu dla zwierząt, mieszczących się w tym czasie właśnie na ulicach Rybaki i Bugaj. Były też tam liczne stajnie dla koni, a nawet obora z czterema krowami. Nie mogłem zrozumieć, jak te typowo wiejskie zwierzęta mogły żyć w mieście i do tego jeszcze dawać mleko. A że było mleko to doskonale pamiętam, bo kupowałem je kilkakrotnie, szczególnie przy przeziębieniach w mojej rodzinie. Po przegotowaniu podawano je chorym jeszcze ciepłe ze sztucznym miodem.

Króliki kończyły swój żywot i łądowały w garnku w okolicach świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek bądź innych i stanowiły, można powiedzieć, wyczekiwany miesiącami rarytas.

W 1943 roku, kilka dni przed Świątami Wielkanocnymi, Niemcy przystąpili do likwidacji warszawskiego getta. Nowe Miasto przylegało do dzielnicy żydowskiej na prawie całej długości ul. Bonifraterskiej, którą przebiegał mur. Jego mieszkańcy byli więc naoczniymi świadkami tej zmasowanej akcji ze strony Niemców i zbrojnego oporu Żydów. Przez wyrwy w murze atakowały getto doborowe oddziały SS i Policji. Pierwszy pierścień ochrony murów przed uciekającymi Żydami stanowiła formacja policyjna Łotyszy, ubranych w czarne mundury z owijaczami na nogach od kostek do kolan. Drugą linię stanowili granatowi policjanci polscy, też uzbrojeni w karabiny. Jednak to właśnie Łotysze dokonywali polowań na usiłujących przedostać się na aryjską stronę Żydów. Pewnego dnia stojąc opodal zbiegu ul. Nowiniarskiej i Świętojerskiej miałem tragiczną i straszną w swej wymowie możliwość zaobserwowania zachowań tych policjantów. W odległości około 20 metrów od dwuosobowego posterunku Łotyszy stała grupa SS-manów. Nieco za nimi znajdował się patrol granatowej policji. Każda z tych grup była uzbrojona. W pewnym momencie przez wyrwę w murze od strony getta przebiegło ku Nowemu Miastu trzech Żydów. Biegli bardzo szybko potykając się na gruzie zalegającym jezdnię Bonifraterskiej. Kiedy znaleźli się około 10-12 metrów od tej wyrwy, obydwaj Łotysze strzelali z karabinów do przebiegających. Jeden strzelał w pozycji stojącej, drugi w klęczącej. Po kilku oddanych celnie, jeden za drugim, strzałach trójka Żydów leżała na jezdni. Obydwaj Łotysze ruszyli ku leżącym. Jednego dobili strzałem z bardzo bliskiej odległości. Tymczasem zarówno stojący w grupie SS-mani, jak też polscy granatowi policjanci, nie sięgnawszy nawet po broń przyglądali się akcji Łotyszów. Chciałem uciekać w obawie, żeby nie zaczęli strzelać do nas – Polaków, będących przypadkowymi świadkami tej tragedii. Niestety, nie mogłem się ruszyć. Nogi miałem jak z kamienia, a strach na widok tego zdarzenia zatykał gardło. Długo nie mogłem dojść do siebie po tym makabrycznym polowaniu na bezbronnych ludzi i pozbawieniu ich życia tylko z tego powodu, że byli Żydami. Perwersja Niemców wobec wydarzeń w getcie była wręcz szokująca. Na placu Krasińskich zorganizowali wesołe miasteczko z karuzelami, huśtawkami, strzelnicami oraz tzw. Fala, czyli nisko kręcącą się karuzelą, która obracając się to opadała to wznosiła po swoim obwodzie.

Ponieważ ul. Bonifraterska była objęta strefą walki, tramwaje jadące ze Śródmieścia na Żoliborz kończyły bieg na Placu Krasińskich, zawracając tam na zapasowej pętli. Plac był więc zapełniony ludźmi wysiadającymi z tramwajów, jak też tymi, którzy świadomie przychodzili się zabawić w wesołym miasteczku. Zdałem sobie wtedy sprawę, że nasze warszawskie społeczeństwo składa się nie tylko z patriotów walczących o Polskę. Były niestety także szumowiny, obojętne na nieszczęście Żydów. Dla nich najważniejsza była możliwość zabawienia się. A że to działo się zaledwie 100-200 metrów od ginących bezbronnych ludzi – Żydów, to nie miało dla tej grupy większego znaczenia. Ten przykry obraz warszawskiej codzienności dopełniały duże platformy konne, nakryte plandekami, posiadające z tyłu drabinki, stojące wzdłuż ul. Długiej w kierunku Freta. Tymi środkami komunikacji przewożono ludzi z zapasowej pętli tramwajowej na pi. Krasińskich do prowizorycznych przystanków tramwajowych na Żoliborzu (tuż za torami Dworca Gdańskiego), na których manewrowały tramwaje dojeżdżające z Bielani i Marymontu. Zawracały one na rozjeździe torowym przy zbiegu Bonifraterskiej i Muranowskiej tuż przy murze getta, za którym toczyły się walki. W wagonach byli tylko polscy motorniczy i konduktorzy. Platformy przejeżdżały ulicami Długą, Freta, Zakroczymską, Krajewskiego do Zajęczka. Tam były już „żoliborskie” tramwaje. Była to dobra sposobność wykazania się warszawskim cwaniactwem i tym samym zdobycia sporego grosza przez grupę staromiejskich woźniców, przewożących ludzi pozbawionych komunikacji tramwajowej.

Wielkanoc 1943 roku była bardzo znamienna. Zupełnie inna od poprzednich świąt. Na rezurekcję poszliśmy – Mama, ojczym i ja – do kościoła NMP na Przyryнку. Mimo gry organów i naszego śpiewu modlitewnego do wnętrza kościoła docierał huk wystrzałów i śwąd spalenizny z płonących w getcie domów. Obok dymu z trybularza, okadzającego figurę Zmartwychwstałego Chrystusa, w kościele unosił się popiół z palących się papierów, które wiatr zachodni pędził aż hen na Pragę i dalej na wschód wąwozem ulicy Kościelnej. Wzdragalem się śpiewając „Wesoły nam dzień dziś nastał...” w czasie tej rezurekcji, bo przecież niecały kilometr dalej na zachód ginęła część Warszawy wraz z zamieszkującymi ją obywatelami polskimi narodowości żydowskiej.

## Koniec pacyfikacji getta – nasilenie terroru wobec społeczeństwa polskiego

W maju 1943 roku wygasły walki w getcie, reszta zbrojnego oporu Żydów została brutalnie stłumiona. Nad tą częścią miasta przestał unosić się dym i kurz z palących się i wysadzanych w powietrze domów. Niemcy triumfowali, dając mieszkańcom Warszawy pokaz siły. W tym momencie niejednemu warszawiakowi przyszło na myśl, czy teraz Niemcy nie wezmą się za Polaków, by ich kwestię rozwiązać podobnie, jak uczynili to z Żydami. Czekano co los przyniesie.

Pod koniec maja 1943 roku poszedłem na przechadzkę po zielonych terenach przy Cytadeli. Wychodząc ze skrzyżowania Zakroczymskiej i Sanguszki na otwartą przestrzeń, usłyszałem pracę silnika, jakby czołgowego. Silny warkot połączony z dudnieniem i smużką niebieskiego dymu, unoszącą się znad ziemi. Podszedłem zaciekawiony bliżej źródła tego hałasu i stanąłem jak wryty, nie mogąc nadzieić się zauważonej sytuacji. Między Fortem Legionów (z rusznikarnią SS) a ulicą Zakroczymską stała na trawniku ogromna maszyna z dźwignią, na końcu której znajdowała się metalowa skrzynia otwarta od góry. Dźwignia wraz z tą skrzynią opadała ku ziemi, wkopywała się w nią, po czym nabrawszy w siebie ziemnego urobku podnosiła się ku górze. Następnie cała ta maszyna obracała się to w lewo to w prawo, a z metalowej skrzyni wysypywała się ziemia. Co kilka minut ten metalowy moloch przesuwał się ku przodowi za pomocą gąsienic, jak czołg. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem wielką koparkę mechaniczną, która robiła długi wykop od ul. Wenedów do Konwiktorskiej. Prawie każdego dnia biegłem z domu na Przyryнку na miejsce pracy koparki obserwując postęp robót. Zastanawiałem się, czemu ma to służyć. Gdy zakończono kopać koparka odjechała. Na Konwiktorskiej, w wykopie, na Wybrzeżu Gdańskim pojawili się robotnicy, układający tory kolejowe dla kolejki o dość szerokim, ale nie normalnym torze. Była to linia podwójna, po której mogły kursować pociągi w obie strony. W samym getcie na przedłużeniu ul. Konwiktorskiej zbudowano małą stację rozrządową oraz warsztaty naprawcze dla tej kolejki, a także pomieszczenia biurowe. Po krótkim czasie na stacji pojawiły się lokomotywy parowe i wagoniki towarowe, zaś poza nią, w morzu gruzów stanęły dwie wielkie koparki. Początek tej linii kolejowej miał miejsce w getcie, zaś koniec nad Wisłą za mostem kolejowym przy Cytadeli. Wszystkie roboty torowe, obsługę taboru oraz nadzór nad pracami prowadziła niemiecka firma zatrudniająca wyłącznie Niemców. Tak to rozpoczęła się wielka akcja wywozu gruzu z terenu byłego getta. Przy tej okazji sortowano gruzowisko na dobre cegły, złom metalowy i faktyczny gruz. Tylko ten ostatni wyjeżdżał na zwałkę nad Wisłą.

Po kilku miesiącach obok dwutorowej linii o średniej szerokości, Niemcy wybudowali następną linię dwutorową o takiej szerokości torów jak warszawskie kolejki wąskotorowe, co znacznie przyspieszyło tempo wywozu gruzu. Wysypisko przesuwało się wzdłuż Wisły, ku siedzibie przedwojennego klubu sportowego „Marymont”. Akcję wywózki gruzu przerwało dopiero Powstanie Warszawskie. Niemcy uciekli porzucając cały sprzęt wraz z nieuszkodzonym torowiskiem.

Słyszałem, że na znielowanym po getcie terenie Niemcy zamierzali wybudować wielką dzielnicę – nowe centrum niemieckiego miasta Warschau, w którym miało mieszkać tylko 120 tysięcy Polaków do obsługi „narodu panów”. W ramach eksterminacji Polaków okupanci zlikwidowali resztę pomocy, jakiej jeszcze udzielali – głównie w lekach – polskiemu szpitalowi wojskowemu na Ujazdowie. Szpitalowi Ujazdowskiemu groziła likwidacja. O pomoc dla tej instytucji zwrócił się do warszawiaków Polski Czerwony Krzyż. Dzięki wielkiej ofiarności społeczeństwa stolicy zgromadzono środki umożliwiające dalsze istnienie i funkcjonowanie lecznicy bez niemieckiej pomocy.

Dzieci Warszawy też brały udział w organizowaniu pomocy szpitalowi. Mam w tej mierze osobisty przykład. Wychowawca naszej klasy w szkole powszechnej nr 38 odpowiedział nam, jak możemy włączyć się do tego dzieła. Otóż dyrekcja Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w Warszawie skupywała makulaturę w postaci zużytych biletów tramwajowych, ale pod warunkiem, że były one spakowane i owinięte sznurkiem w bloczki po 100 sztuk. W owym czasie w tramwajach warszawskich miały zastosowanie 3 rodzaje biletów. Największymi z nich były abonamentowe na 10 przejazdów płatnych plus jeden jako 11 – stanowiący premię dla pasażerów. Nieco mniejsze były przesiadkowe na dwa przejazdy ze zniżką 30%. Najmniejszymi były bilety jednorazowe, jednak ze względu na ich codziennie zużywaną liczbę najłatwiejsze do zbierania. Miejscem pracy była zapasowa pętla na pi. Krasieńskich oraz prowizoryczne przystanki na Żoliborzu przy ul. Mickiewicza róg Zajęczka. Bilety zbierane były w pośpiechu do płóciennych woreczków. Następnie w domu selekcyonowałem je i pakowałem w paczuszki po 100 sztuk. Po zebraniu co najmniej kilkunastu paczuszek zawoziłem je do Dyrekcji MZK przy ul. Młynarskiej 2. Tam w pokoju na parterze obok głównego wejścia przekazywałem bilety i otrzymywałem za nie pieniądze. Zdobyte fundusze zawoziłem do Dyrekcji Szpitala Ujazdowskiego.

Zarówno na Młynarskiej, jak i na Ujazdowskiej spotykałem moich rówieśników, którzy w ten sposób włączyli się do akcji ratowania szpitala. Trudno było Niemcom złamać ducha u Polaków. Narastał opór przeciwko okupantom. Dochodziło do utarczek zbrojnych między żołnierzami warszawskiej

konspiracji a niemiecką żandarmerią i policją. Z wyroków polskich sądów podziemnych ginęli hitlerowcy, którzy zasłynęli z okrucieństwa wobec Polaków. Ginęli też kapusie rekrutujący się głównie z volksdeutscheów. Dla zastraszenia Polaków, Niemcy rozpoczęli krwawe egzekucje na ulicach Warszawy. Pod ścianę trafiali zarówno przypadkowi przechodnie schwytni na ulicy podczas łapanki, jak też więźniowie Pawiaka przetrzymywani tam i torturowani przez Gestapo.

Chodzenie po Warszawie, chociaż zawsze grożące niebezpieczeństwem, teraz stało się postrachem spełnianym z życiowej konieczności. Można było w każdym dniu i w każdej jego godzinie zostać schwytanym w kotle, jaki tworzyły szybko przenoszące się z miejsca na miejsce zmotoryzowane oddziały niemieckich bandytów w mundurach różnych formacji – od policji do FLAK. Na mojej trasie przejścia z domu przy ul. Przyrynek do szkoły przy ul. Sewerynowa znalazły się dwa miejsca tragicznych ulicznych egzekucji, dokonanych przez hitlerowców na Polakach. Osobiście zbrodni tych nie widziałem, ale tak się złożyło, że oglądałem te miejsca prawie zaraz po egzekucji. Było to na ul. Senatorskiej nieopodal ul. Miodowej pod ścianą domu wypalonego we wrześniu 1939 roku oraz na ul. Kilińskiego we wniecie przedwojennego Ministerstwa Sprawiedliwości przy ul. Długiej 7. Na kilka minut przed tym krwawym wydarzeniem Niemcy zamykali ruch i przeganiaли wszystkich tam się znajdujących, dlatego tak trudno było o świadków tych mordów. Natychmiast po egzekucji zabierali zwłoki na samochody, samo miejsce było zmyte wodą, a następnie zasypane cienką warstwą piasku. W kilka minut po tym strasznym zjawisku na jego miejscu były już złożone kwiaty, paliły się lampki i świece. Następnego dnia nazwiska rozstrzelanych można było znaleźć na amarantowych afiszach „Bekantmachung”, rozlepionych na słupach ogłoszeniowych. Wszystkie one opatrzone były datą i podpisem o treści „SS und Polizei Furher nach Distrikt Warschau”. Przeciętny warszawiak nie wiedział kto z nazwiska i z jakim stopniem ukrywa się pod tym podpisem. Ale ta niewiedza tylko wzmacniała nienawiść do szwabów i chęć odwetu na nich jak najszybciej.

Inną formą niszczenia polskiej społeczności było nakładanie kontrybucji na mieszkańców Warszawy, pod różnymi zresztą pretekstami. Po wspomniałym wyczynie żołnierzy Armii Krajowej, polegającym na zdobyciu z transportu 100 min okupacyjnych złotych przewożonych z Banku Emisyjnego przy ul. Bielańskiej na Dworzec Wschodni, Niemcy ogłosili 5 min złotych nagrody za wskazanie sprawców „napadu”. Nałożyli też taką samą kontrybucję. Kontrybucja ta została ściągnięta i umieszczona w oddziale banku Komunalna Kasa Oszczędności na Krakowskim Przedmieściu nr 14. Została stąd jednak odbita przez grupę konspiracyjną, ale już nie z AK. Świadcami tego stali się – niechęcy zresztą – uczniowie szkoły powszechnej nr 38, mającej wówczas swą siedzibę przy ul. Sewerynowa. Moja klasa miała pomieszczenie na parterze z oknami wychodzącymi na ulicę. W owym momencie pisaliśmy dyktando, co wymagało skupienia. Ciszę i skupienie przerwał odgłos zbliżających się szybko głośniejszych kroków i narastająca strzelanina. Prowadzący lekcje nauczyciel zdążył krzyknąć: „Wszyscy na podłogę pod ławki”. Po zakończeniu lekcji oglądaliśmy ścianę budynku szkolnego. Znaleźliśmy dwa świeżutkie wgłębienia po pociskach i jeden otwór po kuli w szybie okna na końcu klasy. Bogu dzięki, że żadnemu uczniowi i nauczycielom nic się nie stało.

W jakiś czas potem dowiedziałem się od ojczyma, iż grupa, która odzyskała kontrybucję wycofywała się po akcji ul. Oboźna, Sewerynowa, przez Bartosiewicza i Konopczyńskiego ku Tamce. Zarówno uciekający jak i ścigający ostro ostrzeliwali się, ale ucieczka się udała, Niemcy pieniędzy nie odzyskali.

Z nauką na Sewerynowie wiąże się jeszcze jedno wydarzenie – na szczęście bezkrwawe, ale znacznie bardziej brzemienne w skutkach dla mnie. Jak wspominałem jedna z niemieckich dzielnic mieszkaniowych znajdowała się przy ul. Dynasy i w jej pobliżu. W jednym z domów na Dynasach mieściła się niewielka szkoła dla niemieckich dzieci. Zgodnie z nakazem okupacyjnych władz, wszyscy mali i młodzi Niemcy chodzili do szkół w mundurach organizacji młodzieżowych „Hitler-Jugend” (HJ) dla chłopców i „Bund Deutsche Madei” (BDM) dla dziewcząt. Natomiast my, dzieci polskie, byliśmy ubrani w starą cywilną odzież. Te nasze stroje młodzi, butni Niemcy, szczególnie ci z HJ wyszydali i pokazywali nas palcami. Doszło do sytuacji, że to szwabskie nasienie podchodziło pod naszą szkołę i pod jej oknami rzucało wyzwiska pod naszym adresem. Nasi nauczyciele kategorycznie zakazywali jakichkolwiek awantur z tymi Niemiaszkami, ale w końcu cierpliwość się wyczerpała. Któregoś dnia natarliśmy na rozwrzeszczanych HJ i będąc w przewadze liczebnej pogoniliśmy ich aż pod niemiecką szkołę na Dynasach. Oni jednak też zebrali posiłki i w znacznie większej liczbie rozpoczęli podchodzenie pod górę Skarpy od Dynasów ku Bartosiewicza chcąc się do nas dostać. Kiedy byli już w połowie Skarpy nasz niepisany „przywódca” Sławek Łukomski wydał komendę: „Palikami w nich”. Jednocześnie wyrwał palik podtrzymujący młode drzewko i puścił go w dół, na podchodzących HJ. W ślad za jednym potoczyły się trzy następne. Zmiotły one podchodzących HJ w dół, powodując u nich zapewne szereg służeń. Hałas jaki zapanował w czasie tej „bitwy” spowodował, iż kilku Niemców w mundurach SD z garażu przy ul. Oboźnej z bronią palną w rękach, obeszło nas od tyłu. Widząc co się stało, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, część naszych chłopców uciekła. Ja i jeszcze trzech moich szkolnych kolegów niestety nie zdążyliśmy zwać. Zostaliśmy schwytani przez tych z SD, przeprowadzeni do pilnowanego przez nich garażu i tam zatrzymani do rana następnego dnia. W garażu zapędzili nas do

mycia i czyszczenia samochodów. Nie mogliśmy się nawet na chwilę zdrzemnąć. Nie dostaliśmy też nic do jedzenia, a do picia tylko czarną zbożową kawę. Po ustaniu godziny policyjnej o 6 rano puścili nas. Po powrocie do domu dostałem od Mamy tęgie lanie z przestrogą „żeby to było ostami raz”. Trudno było dziwić się Mamie lub mieć do niej żal. Wieczorem poprzedniego dnia, kiedy w normalnym czasie nie wróciłem do domu, szukała mnie u wszystkich znajomych. Od jednego z kolegów, któremu udało się uciec „z pola walki” dowiedziała się o naszym losie. Ze względu na rozpoczynającą się wtedy godzinę policyjną, dalsze poszukiwania musiała odłożyć do rana następnego dnia. Kiedy szła z zamiarem proszenia komendanta garażu, aby nas wypuścił spotkała mnie po drodze. Odpowiednio ostrą reprymendę dostałem też od mojego szkolnego wychowawcy oraz kierowniczkę szkoły. Zrozumiałem, że swoim zachowaniem nie tylko nadszarpnąłem i tak słabe zdrowie Mamy, ale mogłem spowodować, że za karę za bijatykę z HJ, Niemcy mogli zamknąć szkołę. Do końca roku szkolnego unikaliśmy młodych Niemców, ale chyba i oni unikali nas. Do żadnych dalszych incydentów nie doszło.

Nadmieniłem już o wielkiej roli RGO w tworzeniu różnorodnej pomocy dla potrzebującej jej Polaków. Jedną z takich form było organizowanie przez RGO kolonii letnich dla polskich dzieci w okolicach Warszawy w okresie wakacji, tj. w lipcu i sierpniu. Dzięki staraniom Mamy i opinii szkolnego higienisty uzyskałem możliwość uczestniczenia w trzytygodniowym turnusie rozpoczynającym się w ostatnich dniach czerwca 1943 roku. Kolonie organizowane były w Otwocku k/Warszawy w obiekcie sanatoryjnym o nazwie „OLIN”, zbudowanym tuż przed wojną z przeznaczeniem właśnie dla dzieci. Nazwa ta wywodziła się od imienia żony marszałka Józefa Piłsudskiego – Aleksandry, która utworzenie tego sanatorium zainspirowała. Jakże wielkim dobrodziejstwem dla samych dzieci i ich rodziców był taki kilkutygodniowy pobyt w otoczeniu pięknych sosnowych lasów, z dala od bardzo nerwowego życia w Warszawie. Otrzymywaliśmy trzy posiłki dziennie, w tym mleczną zupę rano na śniadanie. Wychowawcami poszczególnych grup i jednocześnie ich kierownikami byli młodzi ludzie rekrutujący się z przedwojennych starszych harcerzy. W każdą niedzielę chodziliśmy na mszę świętą do kościoła w Otwocku, natomiast dni powszednie rozpoczynaliśmy i kończyliśmy głośno i starannie odmawianą modlitwą. Znaczną część pobytu przeznaczano na gry i zabawy typu harcerskiego. Dzięki wychowawcom atmosfera była przepełniona głębokim patriotyzmem i wiarą w odrodzenie Polski. Gawęd o tych wielkich rzeczach wygłaszanych przez wychowawców słuchaliśmy z ogromnym zainteresowaniem i przekonaniem o ich słuszności. W pierwszych dniach lipca 1943 roku, gdy turnus kolonijny już się ukształtował, nastąpiło wydarzenie, które głęboko utkwilo w mojej pamięci. Któregoś dnia, przed modlitwą wieczorną, jeden z wychowawców głośno i wyraźnie przekazał nam wszystkim wiadomość, iż premier polskiego rządu w Londynie i naczelny wódz polskich sił zbrojnych na emigracji generał Władysław Sikorski zginął w Gibraltarze w katastrofie lotniczej. Po podaniu tej wiadomości odmówiliśmy modlitwę za zmarłych. Wieczorem modliliśmy się do Boga i Matki Przenajświętszej o pomyślność dla Polski i Polaków. Na zakończenie zaśpiewaliśmy wszyscy, cała kolonia, pieśń „Z dawna Polski Tyś Królową Maryjo”, której nauczone nas w czasie pobytu w „Olinie”.

Zawsze po modlitwie wieczornej panował gwar i rozmowy, nawet po capstrzyku. Tego dnia, kiedy podano wiadomość o śmierci generała Sikorskiego, nastąpiła głucha cisza. Poszliśmy spać w absolutnym milczeniu, zdając sobie sprawę z wielkiej tragedii dla Polski, jaka wydarzyła się w Gibraltarze. Nieszczęścia nigdy nie atakują w pojedynkę, zawsze chodzą w parze. Tak też było i tym razem. Kilka dni przed śmiercią generała Sikorskiego, Niemcom w Warszawie udało się schwytać Komendanta Głównego Armii Krajowej generała Stefana Roweckiego pseudonim „Grot”. Sprawa polska na obczyźnie i w kraju otrzymała potężny cios. Niełatwo było polskiemu społeczeństwu podnieść się i wyprostować po takim ciosie.

Ważnym wydarzeniem 1943 roku było opublikowanie przez Niemców wstrząsającej informacji o odkryciu masowych grobów polskich oficerów wziętych przez Sowieców do niewoli we wrześniu 1939 roku Odnaleziono je na terenie Związku Sowieckiego w okolicach miejscowości Katyń pod Smoleńskiem. W czasie ekshumacji zorganizowanej przez Niemców w miejsce to sprowadzono delegację Polskiego Czerwonego Krzyża z Warszawy, żeby Polacy mogli na własne oczy zobaczyć do czego zdolni byli bolszewicy. Im to bowiem Niemcy postawili zarzut masowego mordu. Delegacja PCK potwierdziła, że są to rzeczywiście zwłoki polskich oficerów zabitych strzałami w tył głowy wiosną 1940 roku przez Sowieców.

Sprawie Katynia hitlerowska propaganda nadała światowy rozgłos, jednocześnie eksponując ludobójcze oblicze stalinowskiego reżimu i jego wrogi stosunek do naszego narodu. Wykorzystywała przy tym wszystkie środki techniczne, które miała do dyspozycji na terenie Generalnego Gubernatorstwa, a więc megafony uliczne – „szczekaczki”, „Nowy Kurier Warszawski” – „gadzinówkę” i „szmatławiec” w jednej postaci, a nawet tygodnik dla szkolnych dzieci i młodzieży po tytule „Ster”. O Katyniu i tym co się tam wydarzyło wiedziałem zarówno z przytoczonych powyżej źródeł, jak też od Mamy i Ojczyma, którzy byli wstrząśnięci tą tragedią i faktem jej ujawnienia. Wiele na ten temat pisał także „Biuletyn Informacyjny”, który również od czasu do czasu udawało mi się uzyskać do przeczytania.

Pamiętam, że w którymś z numerów, na pierwszej stronie poniżej winiety z orłem i szablą, był wydrukowany następujący wierszyk:

*Krzyczą – Katyń! Jacy święci!  
A Treblinka, a Oświęcim!*

Z powagą, godną wielkości tego tragicznego zdarzenia, mogę stwierdzić, iż już wówczas w 1943 roku, jako dwunastolatek – już nie dziecko, ale jeszcze nie w pełni młodzieniec – nabrałem pewności, że katyński mord to sprawa sowieckich bolszewików. Skojarzyła mi się ta sprawa z sowieckimi nalotami na Warszawę dokonywanymi od 1942 roku i bombardowaniem nie celów zajętych przez Niemców, ale domów mieszkalnych i ulic naszego miasta. Naloty pozbawiły życia i spowodowały kalectwa setek warszawiaków. A przecież Sowiety to miał być nasz sojusznik w walce z Niemcami.

Tymczasem Niemcy w Warszawie w coraz większym stopniu stosowali terror wobec Polaków. Były kontynuowane łapanki uliczne, przygotowywane i realizowane przez wszystkie formacje zbrojne okupanta stacjonujące na terenie miasta. Niemcy nie odstąpili od ulicznych egzekucji, które nadal wykonywali w różnych częściach stolicy. Mało tego, zastosowali nowe formy tych represji – między innymi wieszanie zakładników porwanych w ulicznych łapankach lub już wcześniej więzionych na Pawiaku.

Pierwszym ze znanych mi osobiście miejsc egzekucji przez powieszenie był długi balkon w jednym z budynków przy ul. Leszno w pobliżu gmachu sądów. Wśród ofiar znalazło się kilku wychowanków Zakładu Wychowawczego dla Chłopców prowadzonego przez oo. Salezjanów na ul. Lipowej, a zatrzymanych przez Niemców w czasie kolejnego najścia na ten Zakład. Drugim takim miejscem była Pelcowizna, peryferyjna dzielnica Warszawy, będąca dużym ośrodkiem zaplecza technicznego Kolei Rzeszy „Reichbahn” i Kolei Wschodu „Ostbahn”, gdzie pracował mój Ojczym. Szubienicę zbudowano koło warsztatów kolejowych, na oczach tamtejszych pracowników. O ile po każdej egzekucji ulicznej poprzez rozstrzelanie zwłoki były uprzątnięte natychmiast, o tyle po dokonywanych przez powieszenie Niemcy pozostawiali ciała na widoku publicznym przez 24 lub 48 godzin. Miejsca te były wtedy chronione przez silne stráže żandarmerii oraz granatowej policji.

Na wieść o mordzie na Lesznie poszedłem tam, by na własne oczy jeszcze raz zobaczyć do czego zdolni są Niemcy. Niektórych wychowanków Zakładu Wychowawczego na Lipowej znalazłem dość dobrze. Traktowałem ich jak swoich starszych kolegów. Koniecznie chciałem wiedzieć, czy nie ma ich wśród powieszonych. Ale nie mogłem nikogo rozpoznać chociaż balkon z powieszonymi znajdował się na wysokości I piętra. Poza tym nie wolno było zatrzymywać się, należało szybko przechodzić o czym przypominał szwabski wrzask „schnell”. Komunikaty o dokonaniu powieszonych w „odwet za napady na funkcjonariuszy urzędowych Generalnego Gubernatorstwa” lub „za zamachy dokonywane na niemieckie dzieło odbudowy” albo „za tchórzliwe pozbawienie życia 2 Niemców”, były nadal podpisywane przez Dowódcę SS i Policji na Dystrykt Warszawski i rozwieszane na murach miasta. Na tychże murach coraz częściej pojawiały się także różne napisy antyniemieckie, malowane zazwyczaj czarną farbą. Ich wielkość i treść były różne. Na przykład znak Polski Walczącej „kotwica” miał wysokość od 0,5 do 1 metra. Napisy „Pawiak Pomścimy” – od 20 do 50 centymetrów wysokości liter i długości nawet do 2 metrów. Oprócz malowania napisów kolejną formą polskiego oddziaływania na niemiecką propagandę były na przykład dopiski na obwieszczeniach gubernatora dystryktu doktora Fischera, zawierających szereg zakazów i nakazów dla mieszkańców dystryktu. Znajdowało się na nich wiele budzących śmiech zapisów takich jak: „zabrania się mieszkańcom dystryktu narodowości polskiej oddychania, żeby niemieckim lotnikom nie zabrakło powietrza”; „zabrania się mieszkańcom dystryktu narodowości polskiej picia wody, żeby nie zabrakło jej niemieckim marynarzom”, „o każdym niemieckim śmieciu porzuconym na ulicy, placu, klatce schodowej lub w tramwaju należy powiadomić komisarza Warszawy doktora Leista bezzwłocznie!”; „kto wynajdzie nowe środki żywności mogące służyć za posiłek wielkiemu narodowi niemieckiemu lub smary dla ostatecznego zwycięstwa niezwykłej armii niemieckiej, otrzyma wysoką nagrodę od Ministra Gospodarki Wielkiej Rzeszy Niemieckiej”.

Jeszcze inną formą manifestowania polskości było zawieszanie biało-czerwonych flag na szczycie latarni ulicznych i drutach elektrycznej sieci tramwajowej z okazji świąt państwowych tj. 3 Maja i 11 Listopada, obchodzonych przed wojną. Osobiście miałem podwójną przyjemność związaną z tymi flagami. Dnia 11 listopada 1943 roku na drutach trakcji elektrycznej tramwajowej na Placu Zamkowym zauważyłem długą, około 2 metrową polską flagę. Właśnie dochodził do tego miejsca patrol granatowej policji, który też ją dostrzegł i chciał koniecznie zdjąć. Było to jednak ponad ich siły. Flaga wisiała na tramwajowych drutach około 7 metrów nad ziemią. Została tam zarzucona na sznurku obciążonym kamieniem. Bez użycia drabiny zdjęcie jej było niemożliwe. Pozostawało policjantom czekać na przybycie straży ogniowej na samochodzie, co wydłużało czas oglądania tej flagi przez sporą liczbę przechodniów.

W czasie niemieckiej okupacji w Warszawie przebywały oddziały wojskowe różnych narodowości służące Niemcom lub z nimi współpracujące. O Łotyszach wspominałem przy opisie getta. A przecież



byli jeszcze Włosi, jadący lub wracający z frontu wschodniego, Rumuni i Węgrzy. Dali się także zauważyć Słowacy z proniemieckiego państwa słowackiego. Po klęsce stalingradzkiej Niemcy utworzyli różnorodne formacje wojskowe składające się z jeńców sowieckich, którzy za darowanie im jakiego takiego życia zgodzili się zaciągnąć pod hitlerowskie sztandary i służyć III Rzeszy. Niektóre z tych formacji pojawiły się także w Warszawie. Wyżsi oficerowie zatrzymywali się w hotelu Bristol przy Krakowskim Przedmieściu. Obok hotelu musiałem przechodzić idąc do lub ze szkoły na Sewerynowie. Niejednokrotnie widziałem ich z bliska. Byli dość łatwi do odróżnienia od faktycznych żołnierzy niemieckich. Niektórzy nosili rewolwery w grubych, skórzanych kaburach, z których wychodził rzemień owijający się w pętlę wokół szyi. Inni na prawym i lewym ramieniu mundurów mieli naszyte tekstylne tarcze z napisem „AZERBEJDŻAN” lub „TURKIESTAN”. Jeszcze inni ubrani byli w długie, czarne, kanciaste na ramionach peleryny, wysokie futrzane czapy z czerwonym denkiem i srebrnym lub złotym krzyżem wszytym na to denko, spodnie z czerwonymi lampasami wpuszczone do wysokich, czarnych butów oraz szerokie pasy biodrowe z uwieszonymi na nich szablami. Nad kieszeniami bluz mieli wszyte rzędy nabożów. Byli to górale kaukascy na niemieckiej służbie, walczący przeciw Armii Czerwonej, ale przecież z niej się wywodzący.

Na polecenie Ojczyma zbierałem i przekazywałem ustnie to co uznać można było za interesujące, a dziejące się przy hotelach Bristolu i Europejskim. Były to więc informacje o żołnierzach różnych formacji, ich pojazdach, osobach im towarzyszących itp. Poszczególne formacje miały różne numery rejestracyjne samochodów na przykład Wehrmacht litery WH, lotnictwo czyli Luftwaffe litery WL, policja – POL. Oddziały SS – litery SS Ponadto każda większa wydzielona grupa wojsk miała swój znak rysowany na pojazdach, na przykład sylwetkę stojącego niedźwiedzia, romb z literą łacińską w środku, palmę („Afrikakorps”) i inne. Z kolei na mundurach też występowały różnorodne oznaczenia. I tak na prawych rękawach mundurów, około 20 centymetrów od dolnej ich krawędzi, jednostki SS nosiły wąskie, czarne paski tekstylne ze srebrnymi literami na przykład YIKTNG, HERMAN, GORING itp. Strzelcy alpejscy na zwężających się charakterystycznych czapkach z dłuższym daszkiem, z lewej strony nosili szarotkę alpejską. Wielokrotne przyglądanie się mundurom i pojazdom tak wyostrzyło mój zmysł spostrzegawczy, że potrafiłem przekazać dokładnie Ojczymowi nie tylko kontury i kształty znaków, ale też barwy i kroje mundurów.

Osobną część zbieranych informacji stanowiły dane o rodzaju uzbrojenia lub broni osobistej Niemców. Potrafiłem odróżnić i opisać bron niemiecką, czeską czy włoską, ale również na przykład belgijską lub sowiecką Wszystkie te dane stanowiły drobną część wiedzy o niemieckich siłach zbrojnych stacjonujących lub przemieszczających się przez Warszawę, gromadzoną na użytek polskiego państwa podziemnego i jego wojska – Armii Krajowej. Patriotyczno-harcerska atmosfera, jaka miała miejsce w czasie mego pobytu na kolonii w otwockim sanatorium „Olin” wzbudziła we mnie chęć bliższego poznania zasad działania polskiego harcerstwa przed wojną i w czasie niemieckiej okupacji. Dodatkowym impulsem do takich działań poznawczych była moja skromna praca zbierania informacji o wojsku niemieckim na przykładzie obserwacji obydwu hoteli tj. Bristolu i Europejskiego. O moich zamiarach rozmawiałem z kilkoma bliskimi kolegami z klasy szkolnej, proponując utworzenie grupy chłopców, którzy w ramach wspólnej działalności i wspólnych zainteresowań zapoznawaliby się z założeniami i doświadczeniami polskiego harcerstwa i wprowadzaliby je do własnego życia. Propozycja ta została uznana za bardzo dobrą. Rozpoczęliśmy od zgromadzenia dostępnych materiałów. Początek dałem ja, wnosząc niepełny rocznik pisma „SKAUT” z 1937 roku. W niedługim czasie była to już całkiem niezła biblioteczka. Rosła również liczba członków grupy. Po kilku miesiącach było nas około 15. Utworzyliśmy dwa zastępy. Zbiórki o określonej tematyce, różnej na każdym spotkaniu, organizowaliśmy w poszczególnych miejscach Powiśla, Starego i Nowego Miasta oraz w ogrodzie zoologicznym, a także w Parku Traugutta. Sprzyjającą okolicznością do względnego bezpieczeństwa uczestników było to, iż część chłopców była ministrantami służącymi do mszy i innych usług religijnych przy kościele Panien Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Mogliśmy zbierać się tam zupełnie legalnie. Pilnie poszukiwaliśmy kontaktu z komendą harcerskich drużyn funkcjonujących w konspiracji. Niestety do wybuchu Powstania kontaktów takich nie udało się nam nawiązać.

Wracając do różnorodnych formacji wojskowych utworzonych z sowieckich jeńców wojennych przez i dla Niemców, chcę dodać kilka szczegółów dotyczących ich pobytu w Warszawie do wybuchu Powstania Warszawskiego. Jednym z miejsc stacjonowania jednostki wojskowej o nazwie OST-LEGION był gmach szkoły powszechnej przy ul. Kawęczyńskiej 2, zamieniony na koszary. Jeżdżąc do wujka zamieszkałego przy ul. Wiosennej wysiadałem na przystanku tramwajowym przy zbiegu ulic Żąbkowskiej, Radzymińskiej, Kawęczyńskiej i Korsaka – zwanym potocznie „Przy Figurze” z racji stojącej tam statui Matki Boskiej. Pewnego dnia zauważywszy liczną grupę dzieci przy bramie wiodącej do szkoły. Podszedłem z ciekawości, aby zorientować się o co chodzi. Posterunek przy bramie obsadzony był przez rosłego żołnierza z bardzo długim karabinem („Lebel” – francuski) i twarzą o skośnych, czarnych oczach. To właśnie te skośne oczy spowodowały zainteresowanie dziecięcej gromady. Stałem także i ja przyglądając się temu dziwnemu zjawisku. Skośnooki żołnierz w niemieckim mundurze

Wehrmachtu z naszywką na prawym rękawie „Ost Legion”. Ów żołnierz odpędzał ręką zbyt blisko niego znajdujące się dzieci, z kiepskim zresztą skutkiem. Wreszcie wyraźnie zdenerwowany zaczął głośno mówić takie oto słowa: „Uchaditie k czortu, czto wy nie widzieli germanckowo soldata?” i sięgnął po karabin przenosząc go z ramienia do ręki. Skutek był natychmiastowy – dzieci rozpieczęły się jak stado wróbli, śmiejąc się do rozpuku.

Innym razem w tym samym miejscu byłem świadkiem musztry marszowej dwóch plutonów tej sowieckiej formacji niemieckiego wojska. Tak się złożyło, że w pewnym momencie, po dokonaniu zwrotu o 180 stopni, obydwaj plutony zaczęły maszerować ku sobie. Odległość między nimi malała dość szybko, więc prowadzący musztrę niemiecki oficer wydał rozkaz „Halt”. Ale nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu, plutony dalej szły na siebie. Oficer ponownie rozkazał „Halt” – bez skutku! Wreszcie nabrawszy powietrza w płuca, oparł obydwie ręce na udach i wrzasnął słowo „prrr”. Obydwaj plutony natychmiast stanęły jak wryte, w odległości od siebie nie większej niż 3 metry. Nie reagowali na niemieckie słowo „Halt”, ale pojęli używane przez woźniców do koni słowo „prrr”. W niedziele część tych sowiecko-niemieckich żołnierzy chodziła po Starym i Nowym Mieście, bowiem w obydwu sąsiadujących ze sobą dzielnicach znajdowały się liczne knajpy obsługujące także i tego rodzaju klientelę. Były tam i inne lokale rozrywkowe, na przykład przy ul. Rycerskiej i Ślepej funkcjonowały domy publiczne, o których istnieniu wiedzieli nie tylko mieszkańcy Starówki.

Sowiecko-niemieccy żołdaci, przez warszawiaków zwani potocznie kałmukami, mieli duże inklinacje do handlu różnymi towarami. Widziałem ich w tej roli na targowiskach, znajdujących się na Rynku Mariensztackim i na Koźlej. Raz udało mi się od nich kupić za małe pieniądze pudełko ołówków o różnej twardości oraz pakiet zeszytów szkolnych w kratkę i trzy linie. Kiedy się tylko pojawiali na tych bazarach, natychmiast skupiał się wokół nich wianuszek zainteresowanych osób. Obserwujący tą handlową działalność granatowi policjanci nie ingerowali. Woleli zachować całkowitą neutralność, popartą odpowiednią sumą pieniędzy, wręczonych przez handlarzy.

## Rozrywka

Dla uzyskania pełnego obrazu okupowanej przez Niemców Warszawy należy chociaż kilka słów powiedzieć o możliwościach rozrywki dostępnych dla małych warszawiaków. Wybór był niewielki, może więc dlatego każda okazja skorzystania z rozrywki była momentem o charakterze świątecznym.

Zacząć trzeba od tej najbardziej dostępnej formy jaką było czytelnictwo literatury polskiej. Istniało szereg wypożyczalni prowadzonych przez prywatne osoby. Wiele książek o patriotycznej treści Niemcy skonfiskowali i zniszczyli. Pozostało jednak sporo innych, które można było znaleźć w czytelnicy, a niektóre z nich jak na przykład bajki Andersena czy Braci Grimm były nawet drukowane i sprzedawane w nielicznych polskich księgarniach. Ja korzystałem z kilku wypożyczalni, zależnie od ówczesnego miejsca zamieszkania. Znajdowały się one przy ul. Solec 85, Krakowskim Przedmieściu 45 (Braci Kozłowskich) i Kapucyńskiej 6. Musiałem budzić zaufanie swym wyglądem i zachowaniem się skoro właściciele wypożyczalni, będący jednocześnie bibliotekarzami, wręczali mi do przeczytania książki formalnie zakazane, których nie było w katalogu a posiadanie ich było karane. Taką właśnie drogą dotarły do mnie takie pozycje jak: „Trylogia” Sienkiewicza, „Pan Tadeusz” Mickiewicza, „Wyspa Mędrców” Kossak-Szczuckiej, czy zbiór wierszy Marii Konopnickiej.

Inną, dość powszechną formą, były seanse filmowe w licznych kinach czynnych szczególnie w Śródmieściu. Na Starym Mieście przy ul. Długiej nr 23/25 znajdował się „Kinematograf Miejski”. Budynek był dość bezpieczny, bowiem oprócz wyjścia (wejścia) na ul. Długą miał jeszcze wyjście (i wejście) od ul. Hipotecznej. Mogłem więc z niego skorzystać, tym bardziej, że bilety były tam najtańsze w całej Warszawie. Ale na przeszkodzie korzystania z tej formy rozrywki stały względy patriotyczne. Polskie władze konspiracyjne rozpowszechniały hasło o treści „Tylko świny siedzą w kinie” co zdecydowanie powstrzymywało mnie od chodzenia do kina. Dodać należy, że wyświetlano w zasadzie tylko filmy niemieckie. Wiadomym też było, że dochody z tych kin szły do rąk Niemców.

W miarę powszechną i względnie łatwo dostępną dziedziną rozrywki były przedstawienia teatralne dla dzieci, organizowane przez różne instytucje i osoby w wielu miejscach Warszawy. Bardzo znanym i lubianym przez dzieci miejscem był teatrzyk kukielkowy wystawiający inscenizacje bajek polskich lub obcych, mieszczący się w budynku dawnego Konserwatorium Muzycznego na Tamce przy Okólniku tj. Pałacu Ostrogskich. Pamiętam, że do tego teatrzyku wchodziło się po stromych schodach od strony Tamki, następnie był duży hol z szatnią i wreszcie sama sala teatralna. Wystawiano tu „Piotrusia i Wilka”, „O krasnoludkach i Sierotce Marysi”, „Przygody Sindbada Żeglarza” i inne bajki. Muzykę do tych przedstawień zapewniali pan grający na skrzypcach i pani grająca na fortepianie, zaś na maleńkiej scenie występowały bajecznie kolorowe kukielki. Nigdy natomiast nie widziałem aktorów animujących kukielki i używających im swych głosów. A tak bardzo chciałem ich zobaczyć. I nawet moja Mama nic tu nie mogła poradzić. Teatralną, a może lepiej powiedzieć widowiskową formą rozrywki były insceni-

zacje różnego rodzaju sztuk o charakterze religijnym, wystawiane w salach Zakładów Wychowawczych, funkcjonujących przy niektórych klasztorach. Na Powiślu była to sala na Lipowej przy klasztorze OO. Salezjanów. Z kolei na Starym Mieście widowiska wystawiano w klasztorze OO. Dominikanów przy ul. Freta nr 10. W bohaterów przedstawięń wcielali się chłopcy – wychowankowie tych Zakładów oraz zakonnicy i księża, czasem cywilne osoby, szczególnie kobiety związane z tym środowiskiem. Najczęściej były to Bożonarodzeniowe „Jaselka”, „Historia męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa”, bądź obrazki z życia niektórych świętych oraz z początków chrześcijaństwa w Starożytnym Rzymie.

Dość często dającą się słyszeć odmianą rozrywki były uliczne koncerty kilku lub wieloosobowych zespołów muzycznych. Zespoły te przechodziły z jednej ulicy na drugą grając w czasie przejścia popularne melodie operetkowe, przedwojenne szlagiery oraz pieśni ludowe z aktualnym dla czasów okupacji tekstem. Zatrzymywały się natomiast w pobliżu skrzyżowań ulic, to jest tam, gdzie znajdowały się większe skupiska przechodniów. Tam w ciągu 10-15 minut dawały prawdziwe popisy swoich umiejętności instrumentalno-wokalnych. Zazwyczaj za tak idącą orkiestrą przesuwała się gromada dziecięcych gapiów zasłuchanych w tę muzykę. Czasem któreś z dzieci podbiegało do murów domów lub drzwi sklepów, by podjąć z ulicy czy z ręki datki pieniężne ofiarowane przez przechodniów lub wyrzucane z okien domów. Było rzeczą wprost zadziwiająca iż nawet grosz nie został przywłaszczony przez dzieci zbierające datki z ulicy dla orkiestry – miało to miejsce przynajmniej wtedy, gdy ja w koncertach tych uczestniczyłem i widziałem co się wówczas działo.

Wreszcie jeszcze inną formą rozrywki, szczególnie upodobaną przez chłopców była gra w dytki. Jako elementy gry występowały: jezdnia – najlepiej ułożona z kamienia polnego, tzw. kocich łbów oraz monety – najlepszymi były miedziane pieniądze z carskiej Rosji. Pierwszy gracz rzucał swoją monetę na bruk. Następni swoimi musieli rzucać tak, aby znalazły się one jak najbliżej pierwszej. Odległość mierzono dłonią. Cała dłoń to było 5 punktów, 3 palce – 10, 2 palce – 15, 1 palec – 20. Gdy moneta rzucona upadła na leżącą było to 25 punktów, czyli wygrana najwyższa. Wynagrodzenie stanowiła taśma filmowa cięta na odcinki po 5 klatek (5 punktów) lub musujące pastylki słodko-owocowe, produkowane przez firmę „IF” przy ul. Krakowskie Przedmieście 66 (w podwórzu). Pastylki te były pakowane w rulony po 10 lub 20 sztuk (10 lub 20 punktów) i stanowiły ponadto przedmiot handlu szkolnego za gotówkę lub na wymianę na przykład za kłiszę lub miedziane monety. Najwyżej wyceniane były bilony spleaszczone pod kołami tramwaju na szynach.

Wreszcie na zakończenie tego przeglądu rozrywki trzeba wymienić sport. Okupanci zamknęli wszystkie stadiony, rozwiązali kluby sportowe. Ze szkolnych programów nauczania usunięto wszelkie działania na rzecz kultury fizycznej. Pozbawili młodych Polaków zorganizowanych form czynnego wypoczynku. Wiek dziecięco-młodzieżowy ma to do siebie, że eksponuje zajęcia ruchowe, gry, zawody w różnych dyscyplinach. Cóż więc miały robić dzieci i młodzież skoro oficjalnie sport był zabroniony? Ano podejmowały gry – szczególnie w piłkę nożną i siatkówkę – w każdym możliwym do wykorzystania miejscu Warszawy. Na Powiślu były nimi: odcinek Karowej tuż przy Skarpie Warszawskiej, alejki zieleńców na Wisłostradzie i większe podwórka domów mieszkalnych – a było ich dużo.

Z kolei na Starym i Nowym Mieście grano w piłkę między innymi w następujących miejscach: na skwerze naprzeciw spalonego w 1939 roku Pałacu Prymasowskiego przy Senatorskiej, między pierwszą a drugą linią murów obronnych (międzymurzu) na Podwalu i na Rynku Nowego Miasta przy Kościelnej.

Gra w piłkę na podwórkach domów staro lub nowomiejskich nie wchodziła w rachubę ze względu na niewielką ich powierzchnię, dodatkowo pomniejszoną przez wodociąg, śmietnik i trzepak. Gracze występujący na tych, pozał się Boże, poletkach musieli uważać,; by nie oberwać po siedzeniu pałką od policjanta za grę w miejscach publicznych oraz miotłą od dozorcey domu, gdy rozgrywki toczyły się na podwórku. Czasami uciekaliśmy z tym na prawy brzeg Wisły do leżącego na wprost Starówki nieczynnego i pozbawionego zwierząt Ogrodu Zoologicznego. Była to jednak daleka wyprawa, a na takie rodzice (w tym szczególnie moja Mama) nie pozwalali.

## Rok 1944 – czas nadziei

Był to rok dla Polski szczególny. Zapowiadał rychły koniec wojny. Ze wszystkich stron Europy zmierzały ku nam armie naszych sprzymierzeńców. Można to było wyczytać z komunikatów wojennych zamieszczanych w „Nowym Kurierze Warszawskim” – „szmatławcu”, usłyszeć z megafonów – „szczekaczek”, jak też wywnioskować z zachowań wojskowych i cywilnych Niemców przebywających wówczas w Warszawie. To już nie byli ci butni i arogancy „przedstawiciele rasy panów”, chociaż ciągle jeszcze wierzący, że wojnę wygrają, gdy tylko zdobędą „cudowną broń” – Wunder Waffe. I raptem tu w Warszawie spadł na nich cios jakiego się nie spodziewali.

W dniu 1 lutego 1944 roku w biały dzień, w środku miasta, bliźutko dzielnicy policyjnej, bo w Alejach Ujazdowskich między ulicami Chopina i Piękną, z wyroku Polski Podziemnej został zastrzelony

kat Warszawy – „SS und Polizei Führer nach Distrikt Warschau” obergruppenführer Franz Kutschera. Do naszej świadomości – uczniów szkoły powszechnej nr 38 przy ul. Sewerynow – dotarło, iż w Warszawie stało się coś nadzwyczajnego. Z wielkim trudem, bowiem co chwila Niemcy zamykali ruch pieszy i kołowy dla sprawdzania dokumentów przechodniów i kierowców, przedostaliśmy się przez Krakowskie Przedmieście i Plac Zamkowy na Stare Miasto, gdzie mieszkała część uczniów. Ja zaś, już o zmroku, dotarłem wreszcie do domu na Przyryнку. Mama wiedziała, że coś się wydarzyło bo powrót do domu z ul. Smulikowskiego, gdzie pracowała, zajął jej ponad 2 godziny. Na swej drodze też napotkała na legitymowanie i rewidowanie przechodniów przez policję i żandarmerię niemiecką i to co kilkaset metrów. W kilka dni później dzielnicowy granatowy policjant na tablicy z listą lokatorów powiesił nakaz opuszczenia domu Przyrynek 15 przez wszystkich jego mieszkańców. Mieliśmy się wyprowadzić na dwie doby. Po gorączkowych ustaleniach okazało się, że nakaz opuszczenia swych mieszkań otrzymali także mieszkańcy innych domów przylegających bezpośrednio do Wybrzeża Gdańskiego lub których okna wychodziły na tę arterię. Cała nasza rodzina przeniosła się na ten czas do znajomych na Elektoralną, zabierając ze sobą tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Przed wyjściem z domu klucze od mieszkania należało zdać dozorcę, który jako jedyny miał prawo pozostać na terenie posesji do czasu odwołania akcji. Z wielką obawą i niepewnością, nie znając przyczyny tego przymusowego wysiedlenia, przebywaliśmy u znajomych. Przy sposobności dowiedzieliśmy się tam, na Elektoralnej, że wysiedleniem objęto także część Śródmieścia, Powiśla, Żoliborza i Bielania. Połączenie wycinkowych informacji w całość dało jej pełny przebieg w terenie, to jest od niemieckiej dzielnicy policyjnej na Szucha do wojskowego lotniska polowego na Bielaniach. Była to trasa przemarszu konduktu żałobnego ze zwłokami Franza Kutschery, którego przewieziono następnie specjalnym samolotem do Berlina i tam odbył się pogrzeb. Wysiedlenie ze wszystkich domów znajdujących się w pobliżu drogi przemarszu miało zapobiec dalszym atakom Polskiego Podziemia na Niemców uczestniczących w tej ceremonii. A było o kogo się bać. Jak głosiła plotka, w tym kondukcie miał uczestniczyć sam szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Heintz Himmler, jego podwładni z Berlina i z innych dystryktów Generalnego Gubernatorstwa oraz Generalny Gubernator Hans Frank, rezydujący na Wawelu w Krakowie.

Pogrzeb ten odbył się później, ale znacznie wcześniej, bo już następnego dnia po zamachu, to jest 2 lutego Niemcy rozstrzelali 100 Polaków w odwet za śmierć Kutschery, o czym powiadomili czerwonymi plakatami. Mimo wielkiego strachu przełamane się i wsiadłszy do tramwaju linii 9 pojechałem w Aleje Ujazdowskie, aby zobaczyć miejsce egzekucji. Było to w kilka dni po jej dokonaniu. Dojechałem do przystanku przy Koszykowej, po czym wysiadłem i poszedłem pieszo do przystanku przy ul. Pięknej. Idąc Alejami. Ujazdowskimi minąłem pałacyk, w pobliżu którego Polacy dokonali zamachu, a następnie pod jego ścianą Niemcy zabili Polaków – zakładników. Na chodniku przy parkanie stały dziesiątki palących się lampek. Przechodzący obok ludzie spoglądali na śmiertelną ścianę. Niektórzy czynili znak krzyża. Niemieckie posterunki stojące w tym miejscu nie reagowały wobec licznie przewijających się na tym odcinku przechodniów. Tę tragiczną sytuację zachowałem w pamięci na zawsze. A także przeświadczenie, że każdego szwaba mordującego Polaków tylko za to, że właśnie byli Polakami, spotka ten sam los co Kutschere.

Pod koniec maja tego roku obiegła Warszawę radosna wiadomość: Polski Korpus walczący we Włoszech zdobył Monte Cassino, twierdzę zamykającą drogę do Rzymu okupowanego przez Niemców; nasza flaga zawisła na szczycie tej góry! Aż trudno było w to uwierzyć. Wiadomość tę przyniósł do naszego domu mój ojczym dając mi do przeczytania i natychmiastowego zwrotu egzemplarz „Biuletynu Informacyjnego”, gdzie zamieszczono komunikat Naczelnego Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych o tym ważnym wydarzeniu. W mieszkaniu zapanowała wielka radość, prawie nawet entuzjazm. Przecież przez cały czas wojny, od jesieni 1939 roku wierzyliśmy głęboko, że karta zwycięstwa Niemiec musi się odwrócić. Że przyjdzie czas polskich zwycięstw, przywracających nam niepodległość.

W miesiąc później następna wiadomość dodała nam skrzydeł, umocniła w wierze w słuszność polskiej sprawy. Dowiedzieliśmy się, że alianci wylądowali we Francji i utworzyli tak zwany II front. Łamiąc opór Niemców posuwali się w głąb terytorium francuskiego, kierując się na Paryż. Pośród lądujących aliantów znalazła się polska formacja pancerna, demonstrując w swych działaniach wojennych ogromną zaciętość, odwagę i świetne wyszkolenie. Jakże cieszyłem się z tego polskiego wojska na francuskiej ziemi. W tymże czasie Sowietci bili Niemców na wschodzie, dochodząc już do naszych ziem kresowych. Z jednej strony wywołało to wśród Polaków wielkie radosne westchnienie, że zbliża się chwila naszego wyzwolenia spod niemieckiej okupacji. Z drugiej strony pojawiło się jednak ogromne zaniepokojenie – co też tym razem sowieckie wojsko przyniesie do Polski. Przecież pamiętaliśmy, jak zdradziecko uderzyli na nas we wrześniu 1939 roku. Jak wymordowali naszych oficerów w 1940 roku w Katyniu i jak bombardowali Warszawę w 1942 i 1943 roku. Zdecydowana większość Polaków, w tym warszawiaków, mimo to wierzyła, że armia sowiecka bijąc i wypierając Niemców przynosi nam wolność. To przeświadczenie dorosłych docierało też do świadomości dzieci. Wraz z sukcesami wojennymi osiąganymi na wszystkich antyniemieckich frontach, tu w Warszawie coraz

głośniej i uporczywiej pojawiało się pytanie: kiedy my, warszawiacy – wraz z żołnierzami Armii Krajowej – uderzymy na Niemców i wyzwolimy od szwabów naszą polską stolicę? Atmosferę oczekiwania na powstanie pogłębiały wydarzenia zachodzące na naszych oczach. Widzieli je wszyscy warszawiacy bez względu na wiek – dorośli i dzieci. Rozpoczęła się ewakuacja niemieckich urzędów. Widziałem na własne oczy, jak z budynku Zarządu Miasta przy ul. Daniłowiczowskiej, tam gdzie urzędował dr Leist, Niemcy prawie biegiem wynosili różnorodne pakunki i ładowali je na podstawiane samochody. Po jezdni i chodnikach wały się podarte resztki niemieckich papierów, pozostałych po spakowaniu chyba tych najważniejszych.

Mieszkająca w naszym domu rodzina volksdeutschów również gorączkowo pakowała swoje manatki, chyłkiem wynosząc się z nimi na Dworzec Gdański. A jeszcze tak niedawno słychać było na podwórku ich nawoływania po polsko-niemiecku w rodzaju: „Hans, chodź do domu na mitag”. Tak wołała matka do syna siedzącego na podwórku. Zaś on jej odpowiadał, jawohl”. Ona na to: „Ja wiem, że ty wolisz, ale chodź do domu”. Wśród nas Polaków rozmówki takie budziły szczery śmiech, hamowany jednak w obawie, aby ci dranie nas nie zadencjonowali do Gestapo. Za takie odnoszenie się do „narodu panów” można było nawet stracić życie.

Przez warszawskie mosty drogowe, a szczególnie most Poniatowskiego, przemieszczały się na zachód gromady cywilnych Niemców wraz ze swym dobytkiem wiezionym na różnego rodzaju pojazdach, od samochodów do dwukołowych „biedek” zaprzęgniętych w chude konie, a nawet czasem w parę wołów. Między cywilami szły grupy żołnierzy w mundurach różnych formacji – brudnych, zarośniętych, nadmiernie obciążonych wojskowym ekwipunkiem. Ruch ten wzrastał, aby osiągnąć swój szczyt w drugiej połowie lipca 1944 roku. Temu żalosnemu pochodowi członków „narodu panów – Wielkiej Rzeszy Niemieckiej” przyglądali się z chodników pogardliwie i z nieukrywaną radością liczni warszawiacy. Wśród widzów tego niezapomnianego widowiska niemieckiej klęski i strachu nie zabrakło oczywiście i mnie, z czego jestem dumny po dziś dzień.

## Powstanie Warszawskie

Pierwsza koncentracja żołnierzy armii podziemnej – AK – do rozpoczęcia powstania miała miejsce 28 lipca 1944 roku. Na wezwanie łączniczek i łączników poszczególni żołnierze Armii Krajowej udali się na miejsca zbiórek, by o świcie następnego dnia rozpocząć uderzenie na Niemców. Moja Mama i ojczym, podobnie jak tysiące innych konspiratorów, też podążyli na punkty zborne. Mama zgłosiła się do Szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze (w pobliżu mostu Kierbedzia), ojczym do swego punktu na Mokotowie. Nie znałem nazw jednostek powstańczych, do których oboje byli przydzieleni i nie znam ich do dziś.

Do wybuchu powstania w dniu 29 lipca 1944 roku jednak nie doszło. Po południu 28 lipca rozkaz został odwołany, wszyscy powrócili do swych domów.

Trzeba tu wyraźnie powiedzieć, iż mniej więcej od początku lipca, z nasilaniem się ku końcowi tego miesiąca, trwała ewakuacja niemieckich urzędów, instytucji oraz fabryk i warsztatów pracujących na potrzeby Niemców. Polscy pracownicy tych zakładów otrzymywali wypowiedzenia umów o pracę i wynagrodzenie za czas ich rozwiązywania. Dyscyplina – dotąd tak skrupulatnie przestrzegana przez Niemców – zdecydowanie uległa degradacji. Momentami można było odnieść wrażenie, że w ogóle jej nie ma. Pojawiło się rozprężenie, którego nie rozproszył nawet nakaz Gubernatora Warszawy o zgłoszeniu się 100 000 warszawiaków do budowy umocnień.

Pracownicy niektórych fabryk i zakładów przemysłowych otrzymywali – oprócz wynagrodzenia za czas rozwiązywania umowy – różnego rodzaju deputaty odprowowe. Składały się one z produktów wytwarzanych dotychczas w tych zakładach pracy, Brat Mamy, wujek Stanisław, pracował wówczas w Zakładach Spirytusowych przy ul. Żakowskiej na Pradze i jako deputat odprowowy otrzymał 25 litrów wódki wyborowej w dwóch skrzynkach po 25 półlitrowych butelek w każdej. Jedną z tych skrzynek przeznaczył dla mojej Mamy z warunkiem, że sami od niego dar ten odbierzemy. W powszechnej świadomości pokolenia, które przeżywało już drugą wojnę światową ugruntowało się przekonanie, że w chaosie wojennym najlepszą walutą jest żywność, papierosy i alkohol. Stąd też Mama i ojczym z tego daru bardzo się ucieszyli, pozostało tylko jego przeniesienie z Wiosennej na Przyrynek.

Po odwołaniu wybuchu powstania w dniu 28 lipca napięta atmosfera wśród polskiego społeczeństwa Warszawy jeszcze bardziej się zaogniła. Najgorszy był czas wyczekiwania na decyzję. Czy do powstania w ogóle dojdzie, a jeśli tak, to kiedy to nastąpi? Około 28 lipca wielka fala niemieckich uchodźców kierująca się przez Warszawę na zachód zdecydowanie opadła, aż zanikła zupełnie. Niektóre wcześniej ewakuowane urzędy powracały do stolicy i wznowiały działalność. Zamiast zdemoralizowanych grup niemieckich żołnierzy wlokących się ze wschodu na zachód, przez Warszawę szły na wschód znaczne siły pancerne w pełnej gotowości bojowej. Zza Wisły zaczęły docierać odgłosy kanonady artyleryjskiej świadczące, że trwa walka między Niemcami a Sowietami. Na ulicach pojawiły

się znów wieloosobowe patrole niemieckie. Wszystko to razem wzięte powodowało trudną do zniesienia sytuację, pełną niepokoju o dzień jutrzejszy i los nas, warszawiaków. Kto miał pieniądze lub dojścia do właściwych źródeł gromadził zapasy żywności. Kto pieniędzy i chodów nie posiadał, żył z dnia na dzień tym co udało mu się zdobyć. Kartkowy system kiepskiego zresztą zaopatrzenia przestał istnieć w ogóle. W takiej to sytuacji żyła Warszawa w ostatnich dniach lipca 1944 roku.

1 sierpnia rano ojczym i ja wyruszyliśmy na Pragę do wujka Stanisława po darowaną nam deputatową skrzynkę wódki. Z Przyryнку szliśmy Rynkiem Nowego Miasta, ul. Starą do Mostowej i Bolesć, dalej Wybrzeżem Gdańskim do mostu Kierbedzia. Przy moście okazało się, że tramwaje na Pragę nie kursują. W obydwu kierunkach przez Wisłę ludzie szli na piechotę. Zauważyliśmy zwiększoną liczebnie niemiecką ochronę mostu zarówno po śródmiejskiej, jak i praskiej stronie. Z ogromnego betonowego bunkra obok Domu Schichta przy Nowym Zjeździe wystawały lufy karabinów maszynowych. Po obu stronach mostu stały wzdłuż chodników nowiutkie zasieki i kozły hiszpańskie z drutu kolczastego. W Parku Praskim były liczne stanowiska artylerii z lufami armat obróconymi na wschód. Natomiast na Placu Weteranów stały baterie dział przeciwlotniczych. Wszędzie pełno Niemców w połowych mundurach. Obok nich dymiące kuchnie polowe. Schodząc z mostu ul. Zygmuntowską ominęliśmy Szpital Przemienienia Pańskiego z wielką flagą czerwonego krzyża umieszczoną nad wejściem i skręciliśmy w prawo ku Floriańskiej, którą doszliśmy do skrzyżowania Brukowej z Targową i Ząbkowską. Na środku skrzyżowania, na szynach tramwajowych stał czołg Tygrys z lufą wymierzoną w ul. Ząbkowską. Bardzo zaniepokojeni tym widokiem przyśpieszyliśmy kroku, by po paru minutach dojść do Wiosennej, gdzie mieszkał wuj Stanisław. Nie zatrzymując się w domu wuja, mówiąc mu o tym co widzieliśmy po drodze, zabraliśmy tę skrzynkę i natychmiast rozpoczęliśmy drogę powrotną na Stare Miasto. Skrzynka była ciężka, więc musieliśmy zwalniać kroku i co jakiś czas zatrzymywać się dla odpoczynku. Po Pradze tramwaje też nie jeździły. Całą drogę przez tę dzielnicę pokonaliśmy na piechotę. Na skrzyżowaniu Ząbkowskiej i Targowej stały już dwa czołgi, a ich załogi siedziały w wozach. Nasz niepokój wzrastał coraz bardziej, ponieważ po ulicach przemykali się jedynie nieliczni przechodnie. Nie było widać żadnych pojazdów. Im bliżej byliśmy mostu, tym robiło się puściej. Na most weszliśmy tylko my, za nami nikt nie szedł. Na wysokości drugiego przesła zatrzymaliśmy się na moment dla zmiany rąk przy niesieniu tej skrzynki. Spojrzeliśmy w stronę Pragi i zauważyliśmy, że Niemcy zamykają wejście i wjazd na most kozłami hiszpańskimi. Natychmiast poderwali się i prawie biegiem dotarliśmy do śródmiejskiej brzozy Wisły. Wyjście z tej strony mostu jeszcze nie było zamknięte, ale kiedy skręciliśmy w prawo ku Wybrzeżu Gdańskiemu spostrzegliśmy, że Niemcy również i od tej strony stawiają w poprzek kozły hiszpańskie. Także i po śródmiejskiej stronie Wisty, prawie nie było ruchu pieszych, ani też jakichkolwiek pojazdów. Dopiero przy ul. Bolesć zauważyliśmy, że Wybrzeżem Gdańskim w kierunku mostu Kierbedzia posuwa się kolumna samochodów ciężarowych prowadzona przez opancerzony transporter niemiecki. Dobięliśmy przez Bolesć do Mostowej i dopiero skręciwszy w Starą, schowawszy się w bramie domu, usiedliśmy wprost na ziemi łapiąc oddech i otrząsając się ze strachu, jaki nam towarzyszył przez cały czas naszego marszu. Po krótkim odpoczynku dotarliśmy do Rynku Nowego Miasta kierując się ku Kościelnej i Przyrynkowi. Nie dochodząc do Kościelnej zauważyliśmy, iż w jednej z bram grupa młodych ludzi w cywilnych ubraniach zakłada na rękawy marynarek biało-czerwone opaski. Na Przyryнку, od strony ul. Samborskiej pokazało się dwóch cywilów również z biało-czerwonymi opaskami. Weszliśmy w bramę naszego domu, a za nami ci dwaj. Zatrzymali się przy załomie muru i zaczęli strzelać z pistoletów w kierunku PWPW. Po chwili wzdłuż Przyryнку przebiegało w tamtą stronę kilkunastu młodych powstańców. Niektórzy mieli w rękach pistolety inni granaty. Z wielkim krzykiem „hurra” dobiegli do wysokiego ceglanego muru otaczającego PWPW od strony ul. Wójtowskiej. Tam się przyczaili, bowiem z okien PWPW stacjonujący tam Niemcy odpowiedzieli taką lawiną ognia, że gdyby nie ten ceglany płot, to żaden z atakujących pewnie by nie przeżył. W chwilę później właściciel sklepu spożywczego przy ul. Przyrynek 10 wybiegł z niego z rozstawną drabiną. Mimo ostrego ostrzału przebiegł krótki odcinek w stronę muru i przystawił ją do niego. Następnie sam wdrapał się na nią i przeskoczył na teren PWPW. Natychmiast tą drogą wdarło się za nim kilku powstańców. Niestety jednemu z nich się nie udało. Na szczycie muru dosięgła go niemiecka kula. Spadł na bruk ul. Wójtowskiej. W taki oto sposób dla mnie, w dniu 1 sierpnia 1944 roku po południu rozpoczęło się Powstanie przeciwko niemieckiemu okupantowi w Warszawie.

Po wejściu do mieszkania pierwsze pytanie skierowałem do babci: „Gdzie Mama?” W odpowiedzi usłyszałem, że niedługo po naszym wyjściu przyszła jakaś dziewczyna i powiedziała do Mamy, że ma dyżur o piątej po południu. Mama spakowała dużą czarną torbę z dwoma uszami i poszła. Wychodząc powiedziała babci żebyśmy się nie martwili, bo przecież dyżur się skończy i niedługo wróci do domu. Potem za jakiś czas przyszła inna dziewczyna i szukała ojczyma. Nie zastawszy go w domu prosiła babcię, aby przekazała Mieciewi (imię ojczyma), że o trzeciej po południu ma się stawić na zbiórze w wiadomym miejscu. Niestety, do domu doszliśmy już po 16-tej.

Pierwszy dzień Powstania. Euforia. Widok ludzi z biało-czerwonymi opaskami. Łomot wystrzałów. Wywieszane na wielu domach narodowe flagi. Ściskający się i płaczący z radości ludzie. Przyszła wolność! Ale też tego pierwszego dnia padali pierwsi zabici. Jednym z nich był dwudziestoletni chłopak w przedwojennym mundurze Przysposobienia Wojskowego, którego zwłoki ułożono przy kościele NMP.

Następnego dnia, 2 sierpnia, ojczym zgłosił do jednej z wielu jednostek AK toczących bój na terenie Starówki. Do macierzystej jednostki na Mokotowie nie mógł dotrzeć. Został więc żołnierzem 101 kompanii, batalionu „Bończa” Zgrupowania „Róg” na Starówce. Zgrupowanie to broniło Starego i Nowego Miasta, od domu mieszkalnego przy zbiegu ul. Sanguszki z Wójtowską, aż do spalonego w 1939 roku Zamku Królewskiego. W tym gronie obrońców znalazło się także miejsce i dla mnie w drużynie gospodarczej baonu „Bończa”. Przyjąłem pseudonim „Rys” i złożyłem przysięgę. Kwaterą 101 kompanii były 2 domy na Krzywym Kole pod numerami 2/4 i 5. Zorganizowano tam miejsca do spania, punkt opatrunkowy pierwszej pomocy, kuchnię z małym magazynkiem podręcznym żywności i opału. W pierwszych dniach Powstania na Starówce: powszechnie z wielką życzliwością i serdecznością podejmowano i fetowano powstańców. Czyniły to zarówno liczne w tej dzielnicy lokale gastronomiczne, jak też mieszkańcy w swoich mieszkaniach. Jednak przezornie tworzone w poszczególnych jednostkach AK własne zaplecza gospodarczo-sanitarne. Ich działalność na początku przebiegała bez przeszkód. W kranach była woda, było światło elektryczne, dysponowano sporymi zapasami żywności ofiarowanymi przez mieszkańców. Nieco gorzej było z opałem, ale i ten znalazł się wśród ludności. Większość powstańczych żołnierzy Starówki stanowili jednak ludzie pochodzący z różnych dzielnic Warszawy. Były też takie oddziały, jak baon im. Łukasieńskiego, który niemal w całości pochodził z Pragi. Stąd też wynikała potrzeba zorganizowania dla nich uzupełnienia w odzieży, bieliźnie i obuwiu. Z magazynów niemieckich uzyskano pościel i koce. Znaczną część brakujących przedmiotów wraz z łózkami dostarczyli mieszkańcy Starówki. Jednak od samego początku do końca walk na Starym Mieście mieliśmy problemy z chlebem. Istniejące w piekarniach zapasy mąki szybko się wyczerpały. W zdobytach magazynach nie znaleziono żadnych rezerw. Po zdobyciu niektórych punktów obrony niemieckiej na Starówce odkryto też składy mundurowo-żywnościowe. Duże zapasy żywności oraz nie dodrukowanych banknotów Banku Emisyjnego Generalnego Gubernatorstwa znaleziono w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. Mundury niemieckich wojsk pancernych znaleziono w szkole powszechnej na Rybakach przy Sanguszki i Wójtowskiej. W dużym lokalu gastronomicznym na Podwalu „Pod Krzywą Latarnią” były duże składy win w beczkach. Ale największe magazyny umundurowania, sprzętu wojskowego i żywności zdobyto na ul. Stawki. Znajdowały się one na specjalnie wybudowanych bocznicach kolejowych, w murowanych barakach, obudowane bunkrami betonowymi dla stanowisk z bronią maszynową. Po ich zdobyciu ostrzeliwane były przez Niemców od strony Powązek, Żoliborza i Woli. Dojście do nich od strony Starówki możliwe było tylko przez olbrzymie gruzowisko byłego getta. Najbardziej niebezpiecznym odcinkiem tej drogi było skrzyżowanie Bonifraterskiej z Konwiktorską. Były tam magazyny zaplecza frontu wschodniego. Przechowywano w nich ubrania ochronne „panterki”, ubrania jesienno-zimowe dwustronne – z jednej strony białe, z drugiej szarozielone, a ponadto hełmy i czapki polowe.

Jednak największą rewelację stanowiły niektóre produkty żywnościowe raczej nieznanne Polakom lub dla Polaków niedostępne. Były to w pierwszym rzędzie ziemniaki suszone w plasterkach, pakowane w papierowe worki, które w suchych pomieszczeniach mogły być przechowywane nawet przez kilka miesięcy. Był chleb pakowany w przezroczysty pergamin o długiej trwałości. Był tam także ryż w workach jutowych, suszone warzywa, olej jadalny w beczkach i wiele innych produktów.

Zanim Staromiejskie Dowództwo AK ustawiło posterunki ochronne w magazynach na Stawkach zostały one częściowo opróżnione przez ludność cywilną. Część zmagazynowanych tam produktów warszawiacy bezmyślnie zniszczyli przez dziurawienie worków z solą i cukrem (pomieszało się to wszystko), rwanie worków z suszonymi ziemniakami i deptanie po nich, bądź też dziurawienie beczek z olejem i przewracanie ich. Zgroza brała patrzeć, jak można było zmarnować tyle dobra, które mogło być przydatne dla wielu ludzi nie posiadających żadnych zapasów żywności w swoich mieszkaniach lub wykorzystane przez szpitale.

Drużyna, a potem pluton gospodarczy organizował przepustki na pozyskanie i transport żywności z tych magazynów do miejsc pobytu oddziałów zgrupowania „Róg”. Przepustki wydawane były w Dowództwie Starówki zlokalizowanym w klasztorze oo. Dominikanów na Freta 10 oraz w Kwatermistrzostwie znajdującym się przy ul. Miodowej 23. Na Miodowej 23 pracowała również dostosowana do potrzeb powstańczych drukarnia miejska. Obok znajdowały się duże magazyny papieru i farb drukarskich.

Na ulicach pełnych cieszących się wolnością ludzi przepychały się idące gęsiego drużyny transportowe, na własnych plecach przenoszące produkty żywnościowe z magazynów do siedzib oddziałów powstańczych. Przemieszczały się także patrole sanitarne z noszami, na których przenoszono rannych z miejsc walk do polowych szpitali. Największy z nich zorganizowany był w budynku

byłego Ministerstwa Sprawiedliwości przy ul. Długiej 7. Znaczna część zaopatrzenia w środki opatrunkowe i leki pochodziła z prywatnych aptek. Jedną z największych i najbardziej hojnych była apteka „Pod Opatrnością” przy ul. Freta. Sporo tych medykamentów uzyskano z apteki Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Hipotecznej.

Niemcy atakowali Starówkę z kilku stron, ale najcięższe walki toczono w budynkach przylegających do Wisłostrady oraz na Placu Zamkowym przy wylotach ulic Krakowskie Przedmieście, Senatorska, Podwale, Piwna, Świętojańska. Jednak boje te w pierwszych dniach Powstania nie były aż tak absorbujące, jak to miało miejsce w połowie sierpnia. Dzięki względnemu spokojowi w dzielnicy, w dniu 6 sierpnia w Kościele Garnizonowym przy ul. Długiej odbyło się uroczyste nabożeństwo wotywno, w którym udział wzięli wszyscy ci powstańcy, którzy nie znajdowali się w tym momencie na linii obrony. Po nabożeństwie, na ul. Długiej na jej odcinku od Miodowej do Kilińskiego, odbyła się pierwsza i ostatnia defilada staromiejskich oddziałów powstańczych. Zarówno we mszy, jak i w defiladzie miałem zaszczyt uczestniczyć, co mogłem zawdzięczać w pierwszym rzędzie memu ojczymowi. On to bowiem zabrał mnie z domu i pomógł uzyskać przydział do drużyny, a potem plutonu gospodarczego.

Odejście ojczyma i mnie z domu wywołało potrzebę znalezienia opieki nad babcią, która sama pozostała w mieszkaniu na Przyryнку. Wobec zbliżającego się frontu Mama zabrała babcię z jej mieszkania na Furmańskiej do nas na Przyrynek. Tymczasem Mama udała się na Pragę i nie wróciła. Ojczym znalazł się w szeregach powstańczych jako żołnierz, a następnie również i ja. Babcia została sama. Trzeba było coś zaradzić. Na Przyryнку pod numerem 4 od wielu lat znajdował się Dom Starców. Udaliśmy się tam z ojczymem i od księdza dyrektora uzyskaliśmy zgodę na umieszczenie tam babci. Miała zapewnione wyżywienie i opiekę pielęgniarsko-lekarską. Na podjęcie pomysłu dla babci i dla nas decyzji na pewno miało wpływ to, że ojczym był już w mundurze z opaską, z pasem głównym, ładownicami i w polowej czapce z orzełkiem. Słowem – powstaniec pełną gębą. Jak ksiądz dyrektor mógł odmówić komuś takiemu? Tym bardziej, że i ja, choć w granatowej szkolnej bluzie, miałem na ręku biało-czerwona opaskę. W ten sposób od około 8 sierpnia babcia miała schronienie i opiekę w Domu Starców przy ul. Przyrynek 4. Mundur, który miał na sobie mój ojczym, pochodził ze zdobytego w szkole na Rybakach magazynu niemieckich wojsk pancernych. Duża ilość tych mundurów pozwoiliła na zaspokojenie potrzeb znacznej części zgrupowania „Róg”.

Któregoś sierpniowego dnia w czasie kolejnego przemarszu po żywność spotkałem mego „niepisanego przywódcę” Sławka Łukomskiego. Na ramieniu miał też biało-czerwona opaskę, ale z czarnymi literami AL. Żołnierze AK mieli inne litery i cyfry. Na przykład na opasce mego ojczyma na białej części znajdowały się litery WP rozdzielone Orłem z Koroną. Na części czerwonej była liczba 101. Zarówno litery, orzeł, jak i cyfry były koloru czarnego. Przywitaliśmy się serdecznie, bowiem nie widzieliśmy się od zakończenia roku szkolnego w czerwcu 1944 roku. Jego batalion „Czwartaków” wchodził częściowo w skład zgrupowania „Róg”, broniąc barykad na ulicy Boleść i Mostowej oraz przy tzw. Czerwonym Domu na Bugaju. Po wymianie zdań kto, co i gdzie robi pożegnaliśmy się, życząc sobie następnego spotkania w wolnej Warszawie. Odchodząc Sławek dał mi do ręki coś co wzbudziło we mnie absolutne zdumienie. Oto trzymałem w ręku naturalnego czerwonego pomidora. Zapytałem skąd ma to чудо. Odpowiedział, że dostał kilka sztuk od kolegów walczących w Zgrupowaniu „Leśnik” w PWPW, którzy czasem nocą wychodzą na działki warzywne na stoku Fortu Legionów, na tzw. ziemi niczyjej.

Z biegiem dni sytuacja na Starówce stawała się coraz cięższa. Nie było już światła elektrycznego i wody w kranach. Koło nielicznych studni zaczęły tworzyć się kolejki. Na Starówkę przybyło wielu uchodźców z Woli, którzy opowiadali o niewiarygodnych wręcz zbrodniach dokonywanych przez Niemców na cywilnej ludności tej dzielnicy po wyparciu powstańców. Starówka była okrążona ze wszystkich stron. Nie miała połączenia terytorialnego z żadną inną dzielnicą. Była ostrzeliwana z armat ustawionych naprzeciwko po drugiej stronie Wisły w Parku Praskim, z dział czołgowych oraz z kanonierki pływającej po rzece.” Swoją porcję śmiertelnych ładunków dokładał też niemiecki pociąg pancerny, jeżdżący po torach od Dworca Gdańskiego do praskiej strony mostu kolejowego pod Cytadelą i z powrotem. Od połowy sierpnia Niemcy zastosowali do ostrzeliwania Starówki moździerze wielolufowe. Od bardzo głośnych i ostrych zgrzytów powstających przy odpalaniu ładunków ten przerażający rodzaj broni nazywaliśmy „szafą”. Jego siła rażenia była wprost niewyobrażalna. Zwłaszcza gdy główce pocisków stanowiły pojemniki ze sprężonym powietrzem lub płynnym środkiem zapalającym. Jakby tego wszystkiego było mało, na głowy powstańców, mieszkańców Starówki i przybyłych tam uciekinierów z Woli zaczęły spadać bomby lotnicze z trzech nisko latających samolotów szturmowo-bombardujących „Stukas”. Mając za bazę lotnisko na Okęciu, samoloty te, mniej więcej co 2 godziny, nawracały nad Starówkę zrzucając zarówno bomby burzące, jak i zapalające.

W dniu 13 sierpnia na Placu Zamkowym przy barykadzie zamykającej Podwale Niemcy pozostawili czołg. Załoga wycofała się, silnik zgasł. Powstańcom udało się go uruchomić. Po rozebraniu trzech barykad na Podwalu doprowadzili go na ul. Kilińskiego. Było to bardzo ruchliwe miejsce nawet w czasie ostrzału artyleryjskiego. W wysokich budynkach ul. Kilińskiego stacjonowały oddziały pow-



stańcze. Obok, na ul. Długiej 7, był szpital i miejsce zakwaterowania kilku oddziałów AK. Na wieść o zdobyciu czołgu przez powstańców zaczęły w to miejsce ścigać setki ludzi, chcących wyrazić swą radość. W momencie najwyższej euforii, gdy czołgu nie było widać, bo otoczyła go szczelnie liczna gromada cywilów i żołnierzy, nastąpił bardzo silny, gwałtowny wybuch. Czołg eksplodował przynosząc śmierć i kalectwo setkom ludzi. Siła wybuchu była tak wielka, iż szczątki ludzkie znajdowano nawet w odległości 500 metrów od tego tragicznego miejsca. Na przykład w mieszkaniu mojego kolegi – również żołnierza plutonu gospodarczego – do którego wchodziło się od Nowomiejskiej, a okna pokoju wychodziły na Szeroki Dunaj, na łóżku znaleziono nogę ludzką z butem. Niewiele brakowało żebym i ja padł ofiarą tego z premedytacją zaplanowanego przez Niemców masowego mord. Dowiedziawszy się o zdobytym czołgu prosiłem dyżurnego podoficera o zezwolenie na pójście i oglądnięcie tej powstańczej zdobyczy. Nie bardzo chciał się zgodzić, bo z prośbą wystąpiło kilku z nas. Wreszcie po namyśle puścił tylko dwie osoby – mnie i kolegę. Pobiegliśmy co sił w nogach w stronę ul. Kilińskiego, potykając się o gruz, druty, jakieś żelastwo zalegające jezdnię ul. Długiej. Przy kolejnym potknięciu upadłem jak długi twarzą do ziemi, na liczne odłamki szkła w tym miejscu się znajdujące. Miałem rękawy od bluzy podwinięte do ramion. Padając uchroniłem twarz. Nie zdołałem jednak ochronić rąk, które pocięte zostały przez odłamki szkła. Nie mogłem dalej biec, ani też iść. Zaczęłem silnie krwawić. Kolega biegnący ze mną również się zatrzymał i chustkami do nosa zaczął mi te rany przewiązywać. W momencie, gdy byliśmy zwrócenii twarzami do siebie w czasie nakładania prowizorycznego opatrunku na moje pocięte, krwawiące ręce, rozległ się potwornie głośny wybuch. Poleciały na nas jakieś cegły, dachówki, szkło i Bóg wie jeszcze co. Wybuch przygniótł nas do ziemi. Kiedy zaczęliśmy się podnosić otrzepując się z gruzu i pyłu, najpierw zobaczyliśmy obok nas leżące na jezdni strzępy ludzkich ciał, ociekające jeszcze świeżą krwią. Potem dobiegł nas przeraźliwy krzyk, o takim natężeniu, jakiego przedtem ani potem nie słyszałem. Wreszcie kuśtykając dowlekliśmy się do skrzyżowania Kilińskiego z Długą. Na tym najbardziej tragicznym miejscu, jakie kiedykolwiek mogłem w życiu obejrzeć, na rumowisku domów i ludzi, już krzatali się pierwsi ratownicy. Byli to żołnierze ocaleli z poharatanych budynków ul. Kilińskiego. Próbowali wśród tych szczątków znaleźć ludzi, którzy dawali jeszcze znaki życia. Wstyd się przyznać, ale ani ja, ani towarzyszący mi kolega nie byliśmy w stanie cokolwiek zrobić, w czymkolwiek pomóc na tym przerażającym cmentarzysku. Płacząc się i ocierając oczy z łez krok za krokiem wracaliśmy do swojej kwatery. A tam radość, bowiem obawiano się, że straciliśmy życie lub zostaliśmy kalekami. Najbardziej uradowany był ów podoficer służbowy, który z takim ociąganiem się dał zgodę na nasze wyjście. Widocznie jeszcze me było nam pisane zejść z tego świata w połowie powstańczego, staromiejskiego sierpnia. Jednak z najbliższych mi kolegów dwaj poszkodowani zostali tragicznie. Jeden zginął rozszarpany przez wybuch, nawet nie udało się znaleźć jakichkolwiek fragmentów ciała. Drugi, ciężko ranny, rzucony wybuchem we wnękę w murze, w której znajdowała się rynna, zmarł w szpitalu powstańczym przy ul. Długiej 7 w dwa dni później. Po tym krwawym i tragicznym dniu część żołnierzy z plutonu gospodarczego odkomenderowano do plutonu łączników. Ja też się tam znalazłem i byłem w nim do końca staromiejskich dni powstania. To była bardzo trudna służba. Coraz więcej domów leżało w gruzach. Ulice były nim zawałone do I piętra. Tu i tam palące się zabudowania, albo gorące od pożaru zgłiszcza. A w tym piekielnym krajobrazie w różnych jego punktach są nasi żołnierze, którym trzeba dać wiadomości, rozkazy, amunicję, czasem coś do zjedzenia. I co najważniejsze trzeba było ich tam znaleźć żywych rannych albo już martwych. Nacisk Niemców zwiększał się z dnia na dzień. Teren zajmowany przez powstańców, mimo bohaterkiej obrony Starówki, kurczył się. Niewiele pomogły nieliczne zrzuć brom i amunicji dokonywane przez alianckie lotnictwo. Z tych samolotów które dotarły nad Starówkę, jeden czterosilnikowy „Liberator” został zestrzelony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą i spadł na ulicę Miodową opodal placu Krasińskich.

Idący na Warszawę Sowietci gdzieś po drodze utknęli. Nie było widać samolotów sowieckich. Nie dali nam ochrony powietrznej przed bezkarnie latającymi tuż nad domami Starówki niemieckimi samolotami, obracającymi w gruzy jej stojącą jeszcze resztę. Rozzuchwaleni brakiem jakiegokolwiek obrony przeciwlotniczej z naszej strony, lotnicy niemieccy potrafili ścigać bronią maszynową nawet pojedynczych ludzi dostrzeżonych z samolotów na staromiejskim gruzowisku. W czasie jednego z takich lotów nad Starówką ich samolot leciał tak nisko, iż uderzył w komin zakładów chemicznych „L. Spiess i syn” na Hipotecznej przy Daniłowiczowskiej i spadł grzebiąc swą załogę.

Pod koniec sierpnia zaczęły krążyć pogłoski o konieczności opuszczeniu Starówki. Nie było co jeść, nie było amunicji, nie było lekarstw dla rannych i chorych. Opadł duch przetrwania wśród mieszkańców Starówki, których byt stał się jaskiniowym życiem, pełnym nieustannego strachu i obaw już nie tylko o jutro, ale o to, co będzie za godzinę. Narastało niezadowolenie. Zaczęła się wytwarzać wrogość cywilnej ludności do powstańczego dowództwa i samych żołnierzy – powstańców. Miara tego niezadowolenia przepełniła się, gdy po nieudanym przebiciu się staromiejskich oddziałów do śródmieścia dowództwo powstańczej Starówki wydało zakaz wychodzenia ludności cywilnej kanałami. Na straży wejścia do kanałów postawiono żandarmerię AK, a ci nie mogąc sobie dać rady z napierającym,

wielotysięcznym, zbuntowanym tłumem zaczęli strzelać na postrach. W odległości niecałych 500 metrów od wejścia do kanału, które znajdowało się przy zbiegu pi. Krasińskich z Długą i Miodową, byli już Niemcy i też strzelali do tych ludzi.

Broniący pi. Krasińskich powstańcy ostatnim wysiłkiem odpierali ataki Niemców dając możliwość wycofywania się oddziałów kanałami do Śródmieścia. Wśród obrońców ostatnich szańców Starówki był i mój ojczym. Ale przedtem zrobił wszystko co było w jego mocy, abym opuścił Starówkę. Tak więc wraz z setkami innych żołnierzy Powstania i nielicznymi (jednak były) osobami cywilnymi, przeżyłem wielogodzinny marsz z placu Krasińskich na ul. Warecką przy Nowym Świecie. To przejście kanałem było dla mnie przeżyciem ponad siły. Ale w drodze nie wolno było ustawać, trzeba było przesuwać się. Najpierw pochyłona sylwetka, potem nieomal zgięta w pół i wreszcie prawie na czworakach, z twarzą tuż nad powierzchnią cuchnących ścieków. Kiedy wydawało się, że nie dojdę, że padnę i że przejdą po mnie następni, ukazało się światło dzienne i silny męski głos poinformował, że to już koniec – "trzeba szybko wychodzić na górę".

Pierwsze wrażenie po wyjściu z kanału, to czyste jezdnie i chodniki, szyby w oknach i liście zielone na drzewach. I do tego normalni, spokojni ludzie w czystych przyodziewkach, z wielką rezerwą i z pewnej odległości przyglądający się tym potwornie zmęczonym, brudnym i śmierdzącym ściekami ludziami Starówki. Zaraz od wyjścia z kanałów powstańcy śródmiejscy rozprowadzali nas po różnych kwaterach. Ja wraz z grupą żołnierzy ze 101 kompanii zostałem umieszczony w suterrenach budynku przy ul. Wareckiej 7. Tam mogliśmy się dokładnie umyć, a nawet wyprać ubrania. Dostaliśmy świeżą bieliznę, ciepły posiłek i mogliśmy się położyć do snu na ułożonych obok siebie materacach. Rano następnego dnia, to jest 2 września 1944 roku, odnalazł mnie ojczym, który wycofał się ze Starówki w jednym z ostatnich oddziałów.

Już 3 września wszyscy pozostali przy życiu i zdrowiu żołnierze Zgrupowania „Róg” zostali skierowani do obrony Powiśla. Idąc przez Warecką chyłkiem przekroczyliśmy Nowy Świat, następnie Ordynacką do Kopernika i dalej Tamką w dół ku elektrowni miejskiej. Przybyłym ze Starówki oddziałom powierzono obronę północnej części Powiśla, tj. ulicy Karowej, Browarnej, Dobrej, Lipowej i Oboźnej. W rejonie działania zgrupowania znalazła się także szkoła powszechna na Drewnianej 8, gdzie część oddziałów miała swoje kwatery i gdzie mieścił się szpital powstańczy. Na Furmańską nie można było się dostać. Tam już byli Niemcy, palący po kolei dom za domem. Było to doskonale widać zarówno w dzień jak i w nocy.

Źródłem naszego zaopatrzenia w żywność, oprócz działalności w tej mierze oddziałów powstańczych z Powiśla, były dwie fabryki cukru i czekolady, a mianowicie Fuchsa na Topiel przy Drewnianej oraz Domańskiego na Cichej przy Tamce. Znajdujące się tam resztki pieczywa cukierniczego, melasy, mąki i niektórych przypraw pozwalały na przygotowanie przynajmniej jednego ciepłego posiłku dziennie. Znowu bowiem powróciłem do pełnienia gospodarczych czynności na rzecz tych z pierwszej linii. Do wody było dość daleko, bo studnie znajdowały się właśnie w tych słodkich fabrykach, bądź w elektrowni.

Ludność Powiśla była nam przychylna. Wiedzano o naszych ogromnych wysiłkach obronnych i przejściu kanałami do Śródmieścia. Użyczano więc sprzętów domowych, garnków, talerzy, sztućców, pościeli i materaców, bo przecież my nie mieliśmy nic.

Napór Niemców na Powiślu rozpoczął się drugiego dnia naszego tam pobytu i to od razu z czterech stron. Natarcia hitlerowców szły od Browarnej, Wybrzeża Kościuszkowskiego i Solca, wspierane atakami lotniczymi 9 samolotów „Stukas”, artylerii z terenu Uniwersytetu Warszawskiego i mostu Poniatowskiego oraz ogniem czołgów od strony Wybrzeża Kościuszkowskiego i wiaduktu Poniatowskiego. Udało się nam przygotować tylko 2 ciepłe posiłki. Resztę stanowiły bardzo skromne racje suchego prowiantu (po kilka sucharów, kostek cukru, cukierków landrynek, kosteczka margaryny). Uderzenie niemieckie trwało w zasadzie bez przerwy dzień i noc. Bomby lotnicze zniszczyły zupełnie elektrownię miejską – główny bastion Powiśla. Coraz więcej domów padało w gruzy lub paliło się.

To wtedy usłyszałem zarówno od powiślańskich powstańców, jak też od ludności cywilnej na ul. Zajęczej, że „gdziekolwiek pojawią się ci ze Starówki, to zaraz za nimi idzie śmierć i zniszczenie”. Była w tym przykrym i smutnym zarazem porównaniu pewna doza prawdy. Kiedy Niemcy zajęci było zdobywaniem Woli, to na Starówce był spokój i dało się żyć bez większych wrażeń. Z kolei kiedy cała niemiecka nawałnica uderzyła na Starówkę i gniotła ją przez prawie trzy tygodnie, wówczas Powiśle i Śródmieście miały względny spokój. Niemcy bowiem przyjęli taktykę niszczenia poszczególnych dzielnicowych ośrodków powstania jeden po drugim, nie wszystkich naraz. Nie dysponowali bowiem niezbędną do działań całościowych liczbą sił i środków. Wyjaśniali nam to nasi dowódcy w przerwach na odpoczynek.

Po trzech dniach niezwykle intensywnych działań obronnych zgrupowania „Róg” na terenie Powiśla, po dużych stratach w zabitych i rannych, otrzymaliśmy rozkaz powrotu do Śródmieścia. W ostatnim dniu naszych walk na Powiślu nie zdołaliśmy już odwiedzić naszych rannych kolegów w szpitalu na Drewnianej 8. Niektórym, jak na przykład mnie, udało się dzięki temu znowu ujść z życiem, bowiem

szpital był w tym czasie dwukrotnie bombardowany. Do Śródmieścia wycofywaliśmy się, przez Okólnik, Kopernika, Foksal pod nieprzerwanym ogniem niemieckim, nocą, przez zavalone gruzem podwórka i płonące bramy domów. Nowy Świat przeskakiwaliśmy pojedynczo, biegiem, pod ostrzałem od strony wielkiego budynku Banku Gospodarstwa Krajowego w Alejach Jerozolimskich. Po krótkim odpoczynku dowództwo Śródmieścia wyznaczyło oddziałom staromiejskim nowe zadania. Podzielono nas na mniejsze części, odpowiadające staromiejskim zgrupowaniom. Nasze zgrupowanie „Róg” otrzymało zadanie obrony odcinka Nowego Świata od Świętokrzyskiej prawie do Alei Jerozolimskich. Odcinek ten objęliśmy około 10 września. Nieomal natychmiast po zdobyciu Powiśla, Niemcy znacznymi siłami uderzyli na Śródmieście Północne. I znów, podobnie jak na Powiślu, usłyszeliśmy ni to gniewny, ni to proroczy głos mieszkańców i części tamtejszych żołnierzy, że jak przychodzi Starówka to zaraz zaczyna się śmierć i zniszczenie”. Nie sprzyjało to konsolidacji i tworzeniu autentycznego braterstwa broni między „autochtonami” a „przybyszami”. Dawano nam odczuć tę różnicę przy różnych sposobnościach. Chociaż w trudnych chwilach, a tych było coraz więcej, zwartość szeregów i odpowiedzialność za wspólną naszą sprawę brały jednak górę. Toczona się walka pochłaniała prawie cały czas naszego tam pobytu. Niemcy atakowali dzień i noc nie pozwalając na dłuższy niż 2-3 godzinny odpoczynek. Staromiejscy żołnierze zdążyli jednak przywyknąć do takich warunków. Trudną sytuację bojową pogarszały coraz ostrzejsze niedobory w zaopatrzeniu żywnościowym wszystkich północno-śródmiejskich oddziałów, w tym także wywodzących się ze Starówki. Podstawowym produktem zaspokajającym głód – lub głód ten oszukującym – był jęczmień, znajdujący się w bardzo dużych ilościach w browarze firmy „Haberbusch i Schiele” na ulicy Grzybowskiej. Jęczmień ten trzeba było uzyskać na specjalne przydziały, realizowane na rzecz poszczególnych oddziałów przez Kwatermistrzostwo Północnego Śródmieścia, a następnie przetransportować do rejonu zakwaterowania oddziału. Nawet w czasie pokoju odległość z zaplecza Nowego Świata na Grzybowską była duża. Jak duża była w czasie działań powstańczych przekonał się już pierwszego dnia, kiedy przypadło nam ją pokonać. Od wyjścia z Nowego Świata przy Chmielnej do powrotu w to samo miejsce minął prawie cały dzień. Jęczmień niosło się w workach przez ulice ostrzeliwane ogniem artyleryjskim, obrzucane bombami z samolotów, z palącymi się po obu stronach budynkami. Jezdnie były pełne wyrw i lejów, zarzucone gruzem i szkłem z rozbitych szyb okiennych. Jakby tego było mało Niemcy ostrzeliwali Śródmieście z działła kolejowego. Pocisk z takiego działła – zwanego „Grubą Bertą” – ważył 500 kilogramów i przebił wszystkie stropy, wybuchając w piwnicy. W czasie pokonywania drogi z jęczmieniem na plecach trzeba było wielokrotnie kryć się, przystawać i łapać oddech. Na dostanie się do komór z ziarnem w samym browarze trzeba było czekać w kolejce, bowiem odbiorców było wielu. Przydziały sprawdzane były kilkakrotnie zanim padło zezwolenie na ładowanie do worków. Następnie trzeba było czekać na zważenie i sprawdzenie, czy ilość z przydziału równa jest ilości w workach. Przyniesiony do rejonu zakwaterowania jęczmień należało zemleć w młynku do kawy, który ciągle się psuł. Kiedy jedni mieli, inni poszukiwali wody. Jedną ze studni mieściła się przy ul. Brackiej nr 20 w podwórzu. Tam też stała wieloosobowa kolejka chętnych, przeganiana i rozpraszana przez kolejne naloty lub ostrzał artyleryjski. Mimo iż dla wojska powstańczego wyznaczono godziny poboru wody, jednak przez chaos wywołany ostrzeliwaniem i tak trzeba było swoje odstać.

Mając zmielone jęczmienne ziarno i wodę, a czasem nawet nieco soli i oleju jadalnego, można było przystąpić do gotowania zupy, prosząc Boga, by w tym czasie nie było bombardowania. Niektóre produkty żywnościowe, jak na przykład kasza i makaron oraz marmolada z warzyw i owoców, pobieraliśmy z magazynów „Społem” na ul. Hożej nr 51. Ale żeby tam się dostać należało przejść do Śródmieścia Południowego, do którego wiodło jedno jedyne, ciągle ostrzeliwane przez Niemców przejście przez Aleje Jerozolimskie opodal ul. Kruczej. Na przejście też należało mieć przepustkę, wystawioną przez dowództwo Śródmieścia przy ul. Jasnej oraz odczekać w bocznych kamienicach na rozkaz wydawany przez oficera AK. Na Hożej byłem dwa razy. Były to bardzo trudne wyprawy, ale dawały pogląd co się dzieje w całym Śródmieściu. Na każdego żołnierza przypadało pół litra zupy i kilka sucharów dziennie. Czasem trochę kawy zbożowej z kostek prasowanych z cukrem, od czasu do czasu jakaś puszka konserw mięsnych lub rybnych na 10 żołnierzy. Kto nie potrafił zorganizować sobie dodatkowego pożywienia, odczuwał stały głód. Tak też działo się z większością żołnierzy.

Niedobór pożywienia i wody przegotowanej sprawił, iż zaczęły się choroby układu trawienia powodujące oprócz bólu także i wolne stolce. W zrzutach lotniczych od naszych aliantów znajdowały się co prawda pastylki do odkażania wody, ale było ich niewiele, a dostępność do nich ograniczona. Na Starówce problem boli żołądkowych w zasadzie nie istniał, bowiem były tam duże zapasy beczkowego wina, które chorym przydzielano jako lekarstwo.

Uzupełniając kwestię wyżywienia, higieny i pierwszej pomocy dla rannych należy dodać jeszcze kilka szczegółów. W rejonie działania zgrupowania „Róg” znajdowały się dwie dobrze znane warszawiakom instytucje handlowe. Pierwszą z nich był sklep spożywczo-kolonialny „Bracia Pakulscy” z wejściem na rogu Chmielnej i Brackiej. Drugą – cukiernia „A. Blikle” przy ul. Nowy Świat nr 33. W obu punktach uzyskiwaliśmy niewielkie ilości produktów, takich jak powidła czy kawa zbożowa.

Punkt pierwszej pomocy medycznej, szczególnie dla rannych w walce lub w wyniku bombardowania i ostrzału artyleryjskiego żołnierzy oraz poturbowanych i wyciąganych spod gruzów osób cywilnych, znajdował się w Łażni „Diana” przy ulicy Chmielnej 13. W pomieszczeniach łaźni była studnia, z której pobierano wodę wykorzystywaną w pierwszym rzędzie na użytek rannych i chorych tam się znajdujących oraz personelu medycznego. Czasem niektórym powstańcom udawało się skorzystać z tej wody do pobieżnego chociaż umycia się. Stacjonarny punkt sanitarny, który można było nawet nazwać szpitalem, mieścił się przy ul. Wareckiej 9 na parterze i w piwnicach. Spory szpital znajdował się w zespole budynków Poczty Głównej z wejściem od ul. Wareckiej. Pochówku osób zmarłych lub zabitych dokonywano na podwórkach domów z ulic Nowy Świat, Chmielnej, Wareckiej i Świętokrzyskiej.

Śródmieście Północne (ale też i południowe) pozbawione było kościołów i kaplic. W pobliżu rejonu działania zgrupowania „Róg” był co prawda kościół Św. Krzyża, ale znajdował się on w pierwszej linii obrony. Nieco dalej, bo na ul. Moniuszki była kaplica, gdzie odprawiano nabożeństwa pod silnym ostrzałem z ziemi i powietrza. I to było wszystko. Docierali do oddziałów kapelani, ale były to raczej wizyty krótkotrwałe, za to bardzo oczekiwane. Z zadumą wspominałem Stare i Nowe Miasto, gdzie tych kościołów było dużo, bo aż 10. W każdym z nich, mimo walk dookoła, można było znaleźć pociechę religijną. Pamiętam doskonale jedną sytuację, gdy w czasie odprawianej mszy św. w kościele Nawiedzenia NMP na Przyryнку, pocisk wystrzelony z czołgu trafił w ołtarz główny, odstrzelując Najświętszej Marii Pannie głowę, która spadła na stopnie ołtarza. W ołtarzu jest pomnik figuratywny Matki Boskiej i Św. Elżbiety.

Monotonia życia w oddziałach powstańczych dawała się we znaki. Większość dnia i nocy pochłaniała zażarta walka o utrzymanie pozycji. Odpoczywało się krótko i w dodatku w pobliżu linii obrony. Zaczęło brakować ludzi na luzowanie i rotację. Stąd niektóre grupy żołnierzy były na linii po kilka dni. Należało dostarczyć im to skromne pożywienie i nieco wody, wykorzystując chwile, kiedy byli nieco mniej zaabsorbowani walką. Czynili to żołnierze drużyn gospodarczych i łącznicy. Czułem się wręcz szczęśliwy, gdy po dotarciu do takiego żołnierza lub ich grupki widziałem z jaką wdzięcznością i lepszym czy gorszym apetytem zjadali przyniesione im wiktuały. Czytającemu te wspomnienia może się wydać zbędnym dokonywanie opisów działalności zaopatrzeniowo-gospodarczej w oddziałach powstańczych, bo ważniejsze są działania bojowe, bohaterstwo żołnierzy, ich działalność na polu chwały. Spieszę wyjaśnić, że w czasie Powstania niewiele miałem do czynienia z bronią, za to więcej z workiem i garnkiem. I z tej też perspektywy opisuję przeżyte wydarzenia. Warto też pamiętać, że potrzeby żołnierza należy spełniać w jak najszerszym zakresie, tak pod względem wyżywienia, higieny osobistej, jak też odzieży, bielizny i obuwia. Należy czynić to po to, aby żołnierz czuł, że ktoś o nim pamięta spełniając na jego rzecz swą powinność. Niech przyczynkiem do tej sprawy stanie się jedna ze zwrotek piosenki żołnierskiej śpiewanej przez harcnerski batalion „Parasol”:

*A zaś na tyłach dekowniki  
intendentura, różne umrzyki.  
Gotują zupe, czarną kawę  
i tym sposobem walczą za sprawę.*

W połowie września obudziły się nadzieje powstańczej Warszawy na zmianę trudnej sytuacji i rozstrzygnięcie jej na naszą korzyść. Narastała od wschodu kanonada artyleryjska, pojawiły się na niebie samoloty z czerwonymi gwiazdami. Front sowiecki zaczął zbliżać się do stolicy. Wreszcie gruchnęła w Śródmieściu wieść, że na Czerniakowie wylądowali żołnierze – berlingowcy, idący na pomoc walczącej Warszawie. Niestety, radość była krótka. Niemcy wyparli ich, a także powstańców z Czerniakowa, opanowując tą dzielnicę i odcinając Śródmieściu dostęp do wiślanych brzegów. Prysła nadzieja na wyzwolenie Warszawy i zwycięskie zakończenie Powstania. W kilka dni później w piękny, słoneczny dzień 19 września nadleciała nad Warszawę wielka formacja samolotów alianckich, licząca około 100 maszyn, w celu dokonania ogromnego zrutu broni i amunicji dla powstańców. Na naszych oczach od wielkich czterosiłnikowych samolotów odrywały się czarne punkciki, po czym za moment otwierały się nad nimi spadochrony i zbliżały się majestatycznie do ziemi. Wszystkich nas patrzących w niebo na ten deszcz zasobników ogarnęła tak wielka radość. Rzucaliśmy się sobie na szyję, klepaliśmy po ramionach i wrzeszczeliśmy tak głośno, jak tylko płuca pozwalały. Ale każda minuta niszczyła naszą nadzieję. Coraz więcej pojemników wiatr znosił bowiem poza powstańcze tereny i wciskał w ręce szwabów, zapewne budząc z kolei ich wielką radość. Tylko nieliczne pojemniki dotarły do powstańczych rak. Było to jednak zbyt mało, aby zmienić losy Powstania. Ginęły kolejne nadzieje, narastał żal za utraconą szansą, jawiła się całym swym ogromem naszą bezradność. Lecz powstańczy żołnierz trwał z uporem na swoim posterunku, mając na dnie serca ostatnie ogniki nadziei na zwycięstwo. Jednak ludność cywilna coraz częściej dawała znać, że jej wytrzymałość zbliża się do kresu ludzkich możliwości. Coraz częściej pojawiały się pogłoski o toczących się rokowaniach w sprawie kapitulacji. Nie było już szans na jakąś skuteczniejszą pomoc lotniczą ze strony aliantów, której przecież powstańczej Warszawie udzielali, mimo ogromnej odległości od ich baz i ciężkich strat. Nie

było nadziei na pomoc dla Powstania ze strony Sowietów, mimo że dzieliła nas od nich tylko szerokość Wisły. A oni byli przecież znakomicie uzbrojeni i dysponowali po tamtej stronie rzeki wielką armią z licznym lotnictwem. Pogłoski stały się smutną rzeczywistością, gdy na zbiórkach oddziałów powstańczych podano do wiadomości komunikat o zakończeniu rozmów z Niemcami i podpisaniu aktu bezwarunkowej kapitulacji. Na mocy tego aktu oddziały powstańcze zostały uznane przez Niemców za regularne wojsko i jako takie wzięte do niewoli. Rannym zapewniono niezbędną pomoc lekarską. Cała ludność cywilna miała opuścić Warszawę i udać się w kierunkach wskazanych przez Niemców, zabierając ze sobą tylko tyle swego mienia, ile zdoła unieść. W dniu 2 października 1944 roku akt kapitulacji Powstańczej Warszawy wszedł w życie. Do 5 października wszyscy powstańcy musieli opuścić Warszawę. Ponad dwa miesiące walk, zniszczone miasto, tysiące zabitych i rannych i wszystko to idzie na marne.

Po ogłoszeniu kapitulacji zapadliśmy, co prawda na krótko, w jakieś odrętwienie. Nie docierało do nas, że mamy stąd wyjść i pozostawić za sobą tragiczny, ale jakże dumny okres życia. Pozostawić wolność! Życie jak zwykle wzięło górę. Wszyscy zaczęliśmy pakować się do drogi wiodącej nie wiadomo gdzie. Ale przed wyruszeniem wypłacono nam w dolarach amerykańskich żołd za dwa miesiące i uregulowano stosunek do służby, wpisując do legitymacji żołnierza Armii Krajowej jej przebieg, awanse i odznaczenia, jak też rany i przeniesienia służbowe. W poczuciu solidarności w walce ze wspólnym wrogiem Dowództwo AK wydało AK-owskie legitymacje żołnierzom wszystkich formacji zbrojnych uczestniczących w Powstaniu Warszawskim.

Wśród powstańczych żołnierzy uwidoczniły się dwa kierunki dalszego działania. Pierwszy, wykluczający porzucenie powstańczych szeregów i sprzeniewierzenie się wojskowej przysiędze, zakładał pójście do niemieckiej niewoli w charakterze jeńców wojennych. Drugi wskazywał na bezcelowość dalszej walki wobec przegrania Powstania i zakładał opuszczenie Warszawy – po zdjęciu munduru i zwolnieniu z przysięgi – w tłumie cywilnej ludności. Zdecydowanie przeważał kierunek pierwszy. Wobec mnie i kilku moich rówieśników przyjęto kierunek drugi. Nie bez wpływu na takie właśnie stanowisko mego dowódcy była kategoryczna wypowiedź mego ojczyma, że mam wyjść z Warszawy z ludnością cywilną.

Deklaracje Niemców o uznaniu powstańców za żołnierzy regularnych oddziałów wojskowych budziły wiele wątpliwości. Przecież już nie raz dali się poznać od najgorszej strony. A ja przed sobą miałem większą część życia, zaś cywilom w końcu mniej grozi. Tak też się stało. Dnia 5 października 1944 roku pożegnałem się ze łzami i ogromnym żalem z moimi współtowarzyszami powstańczej epopei. Moją białą-czerwoną opaskę zabrał ojczym, podobnie jak metalowego orzelka, którego nosiłem na berecie kupionym jeszcze przez Mamę, gdy chodziłem do szkoły.

## Sytuacja po Powstaniu

Od jednej z pań, zamieszkałej w pobliżu Łaźni „Diana”, dostałem znacznie przydługą jesionkę, szalik i jedną koszulę – też zresztą na mnie za dużą. Dała mi także jeden ręcznik i wielki skarb w owym czasie – kawałek mydła. Cały swój dobytek pomieściłem w siatce ręcznie utkanej z papierowego sznurka i wraz z grupą mieszkańców rejonu Nowego Świata, Alejami Jerozolimskimi wyszedłem z Północnego Śródmieścia. Kolumnę obstawiali żołnierze Wehrmachtu z bronią gotową do strzału. Nie wolno było zatrzymywać się, wychodzić poza kolumnę i zmieniać swego miejsca w szyku. Niemcy nie powiedzieli dokąd nas pędzą. W czasie naszego przemarszu zza Wisły nie padł ani jeden strzał, a na niebie nie pokazał się żaden sowiecki samolot. Idąc przez Aleje Jerozolimskie zauważyłem, że sporo domów, po ich południowej stronie, było niezniszczonych. W niektórych kwaterowali Niemcy, stojący gromadnie przed tymi budynkami. Z Alei weszliśmy w ulicę Grójecką. Po jakimś czasie skręciliśmy w jakąś boczną ulicę, potem w inną.

Na gruzach zalegających pobocza jezdni – bo środek był jako tako oczyszczony – to tu, to tam leżały zwłoki cywilnych osób. Przy niektórych z nich znajdowały się tobołki lub walizki, z których powyrzucono odzież walającą się po tym gruzie. Znów strach zaczął zaglądać w oczy. Kim byli ci ludzie i dlaczego zginęli? A co nas czeka na tej drodze lub na jej końcu? Na końcu drogi ukazały się perony Dworca Zachodniego i stojące przy nich elektryczne pociągi pasażerskie, jakie od czasów przedwojennych jeździły przez Warszawę na trasie Otwock-Zyrardów. Niemcy ładowali nas do tych pociągów, a kiedy zapełnili nami wagony, dali znak do odjazdu. Pociąg ruszył na zachód.

Nielatwo było sobie przyswoić fakt, że kilka kilometrów od palonego i niszczonego północnego Śródmieścia Warszawy, kursują elektryczne pociągi, z okien których widać normalnych cywilnych ludzi. Wielu z nich pracowało na pobliskich polach, zbierając ziemiopłody. Pociąg zatrzymał się na jakimś dość dużym przystanku kolejowym. Popędzani przez Niemców ruszyliśmy do wielkiego kompleksu fabrycznego. Zastaliśmy tam całą sforę ludzi w niemieckich mundurach i gromadkę cywili z białymi opaskami i czarnymi napisami „RGO” lub znakami czerwonego krzyża. Rozpoczęła się

rewizja osobista każdego z nas. Niemcy zabierali ludziom kosztowności, pieniądze, jakieś bardziej wartościowe rzeczy osobiste. Następni, siedzący przy stołach, spisywali nasze personalia, zaczynając zawsze od tego samego pytania – „czy brał/brała udział w powstaniu, a jeśli tak, to od kiedy do kiedy i gdzie”. Po tym pytaniu należało przedłożyć dokumenty tożsamości, tj. Kennkartę lub Arbeitkartę, bądź legitymację szkolną. Ja swoją legitymację szkolną przechowywałem przez całe Powstanie. Otrzymane za służbę dolary ukryłem pod podszewką jesionki – nie znaleźli. Z kolei, po wpisaniu nas do ewidencji, dokonywano selekcji całego transportu na kilka grup:

- 1 – ludzie młodzi – mężczyźni i kobiety w pełni zdrowi,
- 2 – starsi ludzie, ale z wyglądu zdrowi i sprawni,
- 3 – starzy ludzie ledwo poruszający się o własnych siłach,
- 4 – matki z małymi dziećmi, same dzieci i młodzież do 14 lat,
- 5 – ranni i chorzy bez względu na wiek i płeć.

Każdą z tych grup kierowano do innych hal fabrycznych z tym, że grupę 1 i 2 przeprowadzali Niemcy w mundurach SS i Policji. Natomiast grupy 3, 4 i 5 konwojowały panie i panowie mówiący po polsku, z białymi opaskami na rękawach. Ja znalazłem się w grupie 4, w hali obok parkanu oddzielającego tę fabrykę od torów kolejowych. Przed wpuszczeniem nas do środka prowadzące nas osoby poinformowały, że jesteśmy w obozie przejściowym, skąd zostaniemy skierowani do pracy na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Obóz znajdował się w Pruszkowie koło Warszawy, na terenie nieczynnych warsztatów kolejowych. Próba ucieczki mogła zakończyć się odesłaniem do ścisłych obozów, do więzienia lub na rozstrzelanie. Nie można było wychodzić bez potrzeby z tej hali i pilnie wykonywać polecenia niemieckich władz obozowych.

W hali jest dostęp do wody, umywalni i ustępu. Będzie jeden ciepły posiłek dziennie. Osoby potrzebujące pomocy lekarskiej znajdą ją w punkcie sanitarnym oznaczonym symbolem Czerwonego Krzyża. Spać można na słomianych matach ułożonych na podłodze hali w kilku długich rzędach. Osoby nas prowadzące są Polakami. Tak oto znalazłem się w Durchlager Pruszków w oczekiwaniu na dalszy swój wojenny los.

Warunki przebywania warszawiaków w obozie przejściowym w Pruszkowie były bardzo złe. Brud, choroby, kiepskie pożywienie – raz dziennie – i do tego istna plaga wszy zagnieżdżonych w tych słomianych matach. Kilka razy dziennie Niemcy dokonywali „przeглядów” wnętrza hal. W każdym znajdowali ludzi, którzy z jakichś powodów podpadali im, co kończyło się wyprowadzeniem nie wiadomo dokąd. Prawdopodobnie byli doprowadzeni do miejscowej placówki Gestapo, bo poza granicami powstańczej Warszawy cały niemiecki aparat okupacyjny funkcjonował na pełnych obrotach.

W obozie nie spotkałem nikogo znajomego, mimo że odwiedzałem prawie wszystkie hale. Trudno się temu dziwić, wszak mieszkańcy Starówki dawno już, bo na początku września, zdążyli przejść przez ten obóz.

Po tygodniu pobytu, uzupełnianą kilkakrotnie gromadę ludzi w 4 grupie zaczęto wyprowadzać partiami na stację kolejową w Pruszkowie i ładować do krytych towarowych wagonów. Wszystkich ogarnęło przerażenie. Co z nami zrobią, dokąd wywożą? Trudno zachować spokój, gdyż ta ponura atmosfera niepewności i obawy udzielała się każdemu. Około południa pociąg ruszył. Przez małe okienka niewiele było widać. Drzwi były zasunięte i zamknięte. W tym przerażonym zbiorowisku byłem i ja – tak samo jak inni zastraszeni. Po kilku godzinach jazdy, pociąg zatrzymał się. Otwarto drzwi i Niemcy, jak zwykle wrzeszcząc i wymachując bronią, nakazali opuścić wagony. Ustawiono nas w kolumnę i popędzono przed siebie. Szliśmy przez ulice jakiegoś miasta, aż do rynku z kościołem. Okazało się, że jesteśmy w Opocznie, na Kielecczyźnie. Tam się zatrzymaliśmy i jeden z Niemców, oficer, prawdopodobnie dowódca konwoju, wykrzyczał kiepską polszczyzną, że teraz zajmą się nami miejscowe władze. Dodał, że powinniśmy być wdzięczni Rzeszy Niemieckiej za tak dobre potraktowanie nas, warszawskich bandytów, którzy tak zdradziecko napadli na ich armię, broniącą nas przed najazdem bolszewickim. Na tym skończył to swoje przemówienie, po czym odszedł, zabierając ze sobą eskortę. W ten sposób otworzył się przede mną nowy etap popowstaniowego życia.

Zgodnie z zapowiedzią niemieckiego dowódcy miejscowe władze, a szczególnie burmistrz i jego współpracownicy, przy pomocy grupki mieszkańców, zaczęli nas rozprowadzać po domach i mieszkaniach Opoczna. Ja w grupce babci, mamy i dwojga małych wnucząt trafiłem pod adres Stodolna 13. Było to obejście składające się z dwóch małych domków i kilku jeszcze mniejszych pomieszczeń gospodarczych, zamieszkałych przez szewca i jego rodzinę. Ponadto znajdował się tam mężczyzna około 30 lat, wypędzony przez Niemców jesienią 1939 roku z Poznańskiego, pracujący w przedsiębiorstwie handlowym zarządzanym przez Niemców. Ci miejscowi ludzie bardzo serdecznie i uczynnie zajęli się naszą gromadą. Zostałem członkiem tej babskiej rodziny. One dostały niewielki pokój na ich czworo, ja otrzymałem prawo rozkładania siennika na noc w kuchni. Miało to swoje zalety, bo tam najdłużej było ciepło. Zarówno szewc jak i poznaniak pomagali nam w pozyskiwaniu produktów żywnościowych, a także zapraszali od czasu do czasu do siebie na obiady.

Z pobytów u szewca zapamiętałem dwie wspaniałe zupy: rosół z ziemniakami i żur z kartoflami. Nic więcej nie podawano, ale to czym częstowano, to było niebo w gębie. Jakże mi one smakowały! Przecież prawie od trzech miesięcy nie miałem możliwości spożyć porządnego posiłku. A tu w Opocznie taki rarytas!

Poznaniak załatwił mi pracę w magazynie płodów rolnych wchodzącym w skład firmy, w której pracował. Zorientowałem się, że ta firma skupowała w Generalnym Gubernatorstwie warzywa i owoce, segregowała je, pakowała i wysyłała do Niemiec na zaopatrzenie tamtejszej ludności. Zarobione pieniądze pozwalały mi na utrzymanie się, a nawet na odłożenie kilku złotych. Dość szybko przyswoiłem sobie zasady pobytu i pracy, ale przez cały czas pobytu w Opocznie myślałem, jak znaleźć się najbliższej Warszawie. Miałem nadzieję, że odzyskam Mamę. Snując takie przypuszczenia przypominałem sobie, że jakaś dalsza rodzina mojego ojczyma mieszkała we wsi Krze Duże koło Grodziska Mazowieckiego. Kiedy z pracy w magazynie zbierałem trochę pieniędzy, podziękowałem poznaniakowi i szewcowi za wszelką pomoc, jakiej mi udzielili i za dobre słowo, które zawsze od nich słyszałem i ruszyłem w drogę. Pociągami dojechałem z Opoczna do Grodziska. Niestety na miejscu byłem już po godzinie policyjnej. Na stacji kolejowej nie wolno było przebywać w tym czasie. Zatroškany stałem pod budynkiem dworca nie wiedząc co mam dalej ze sobą zrobić. W pewnym momencie podszedł do mnie człowiek w kolejarskim mundurze i także torbą w rękę i powiedział, że da mi nocleg u swoich sąsiadów, bo u niego jest to niemożliwe, gdyż ma tam kupę warszawiaków. Tak też się stało. Nie tylko dostałem nocleg w czystośćkiej pościeli, ale dano mi kolację, a następnego dnia rano śniadanie, nie przyjmując ode mnie żadnych pieniędzy. Pokazano mi także drogę do tych Krzy Dużych. Podziękowawszy za wszystko, pełen ufności i wiary w ludzi ruszyłem piechotą przez mazowieckie pola. Przed zmrokiem dotarłem do Krzów i odnalazłem tam ową dalszą rodzinę ojczyma. Przyjęto mnie z dużą rezerwą, ale dano nocleg i ciepłą strawę. Rano dokładnie opowiedziałem swoje powstańcze perypetie oraz późniejsze losy. Na zakończenie wspominałem, że już teraz naprawdę nie mam dokąd pójść. Pozwolono mi zostać, dano ubranie, utrzymanie i miejsce do spania w komórce na sienniku, ale pod kożuchem. Sam zadeklarowałem się do pracy w gospodarstwie, z czego moi gospodarze skorzystali. Wykonywałem wszystkie dostępne mi czynności, od rąbania drewna na opał począwszy na czyszczeniu krów i obory skończywszy. Ale moi dobroczyńcy zdobyli się na rzecz wręcz dla mnie niewiarygodną. Oto mnie, prawie obcego człowieka, posłali na tajne komplety nauczania w zakresie siódmej klasy szkoły powszechnej. Odbywały się one dwa razy w tygodniu w zabudowaniach gospodarczych zespołu pałacowego w Radziejowicach, odległych około 4 kilometrów od Krzów Dużych. Pracowałem, uczyłem się i jak większość warszawiaków wywiezionych z miasta czekałem na sowiecką ofensywę, która powinna przynieść nam wyzwolenie od Niemców.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia 1944 roku. To już szóste Boże Narodzenie na ziemi polskiej pod niemiecką okupacją. Święta dla mnie najgorsze ze wszystkich jakie miałem do tej pory. Bez własnego domu – u prawie obcych. Bez najbliższych – bo przecież utraciłem z nimi jakąkolwiek łączność i kontakt. Nie wiedziałem czy żyją, gdzie są, co robią! Bez przypuszczeń nawet, jaka będzie moja przyszłość. Do Wigilii moi gospodarze podali wszystkim zgromadzonym przy oplatku po lampce grzanek, czyli gorącego bimbrowa z sokiem malinowym. Nieświadom skutków tego poczęstunku wypilem prawie całą zawartość owej lampki, po czym w chwilę później padłem jak martwy. Obudziłem się około południa w pierwszy dzień Świąt z głową obolałą i wielką jak bania. Na Nowy Rok wszyscy sobie życzyli nawzajem, aby jak najszybciej wojna się skończyła, żeby rodziny znów się w komplecie pozbierały, żeby z powrotem przyszła Polska.

W połowie stycznia 1945 roku, pewnego bardzo mroźnego dnia, niebo zaroilo się od sowieckich samolotów, a spoza horyzontu nadciągnęła ogromna burza artyleryjskiej kanonady, która trwała kilka godzin. Po drodze przez Krze w kierunku Radziejowic, przemknęły w pośpiechu kolumny niemieckich samochodów i oddział motocyklistów. Po ich przejeździe na tej samej drodze pojawiły się od strony Nadarzyna sowieckie czołgi z czerwonymi gwiazdami i z uczepionymi na nich sowieckimi żołnierzami. Nie zatrzymując się ani na chwilę pognali ku Radziejowicom. Po kilku godzinach na drodze pojawiły się samochody ciągnące armaty i wiozące różnego rodzaju sprzęt wojskowy. Ciasno się zrobiło od maszerujących pieszo licznych oddziałów sowieckiego wojska. Na niebie nadal leciały dziesiątki samolotów, kierując się na zachód, natomiast nie było widać ani jednego niemieckiego.

Przyszło wyzwolenie spod niemieckiej okupacji. Widział to każdy, kto miał oczy. I każdy wiedział, że wobec takiej siły nie ma żadnych szans, aby Niemcy tu powrócili. Można było myśleć o powrocie do Warszawy.

W dwa dni później od sowieckich żołnierzy, którzy zatrzymali się w Krzach dla odpoczynku i naprawy uszkodzonych samochodów dowiedzieliśmy się, że Warszawa została wyzwolona przez Polskie Wojsko i można wracać. Następnego dnia, grubo przed świtem ja i jeszcze kilka innych osób – warszawiaków znajdujących się w Krzach na popowstańczym wygnaniu, wzięwszy na plecy swoje skromne tobołki ruszyliśmy do stolicy. Przed wyjściem, najserdeczniej jak mogłem i umiałem, podziękowałem moim gospodarzom za wszystko co dla mnie bezinteresownie zrobili. Oni zaś pobłogosławili

mnie na drogę życząc, abym Mamę, ojczyma i wszystkich mi bliskich odnalazł jak najprędzej. Nie zatrzymywani i nie legitymowani przez nikogo, po południu tego dnia dotarliśmy do pierwszych zabudowań Ochoty. Domy leżały w gruzach lub straszyły wypalonymi wnętrzami, jezdnie pełne wyrw i lejów, zavalone gruzem. Tu i ówdzie leżące ludzkie zwłoki w cywilnych ubraniach. W niektórych miejscach domy jeszcze się paliły. Wszystko to przepełnione ciszą i ubielone śniegiem, który skrzypiał pod nogami. Za placem Narutowicza nasza grupka się podzieliła. Ja z jeszcze jednym panem, którego rodzina mieszkała przed powstaniem na Muranowskiej, poszliśmy Towarową w lewo, do Leszna, a stamtąd kawałek Nalewkami do parku Krasieńskich i dalej Bonifraterską do Muranowskiej. Piszę słowa „ulicami, placem, parkiem”, a przecież to były pojęcia geograficzne, a nie obiekty fizyczne. Wszędzie bowiem leżały gruzy zawalonych domów, ich pogorzeliiska, poskręcane słupy latarń i trakcji tramwajowej. Że to były ulice można się było najwyżej domyślać, miały kształt prawie górskich ośnieżonych wąwozów.

Wchodząc na podwórze wypalonego domu Muranowska 12, bo ten adres interesował mojego współtowarzysza, zobaczyliśmy widok jak na batalistycznych obrazach polskich malarzy. Na środku paliło się wielkie ognisko, wokół niego siedziały, stały lub poruszały się postacie w szarych i zielonych płaszczach, z czapkami – rogatywkami na głowach, na których były dziwne, szeroko rozwarte orzelki. Na plecach worki uwiązane na dwóch ramionach niby plecaki. W rękach pepesze i karabiny ze złożonymi bagnietami. My patrzyliśmy z ogromnym zdziwieniem i niepewnością na nich oni z kolei odwzajemniali się podobnym. Raptem przemówił do nas żołnierz z jedną gwiazdką na pagonach płaszcza, śpiewnym głosem pytając: „a wy to kto?” Szybko ochłonęliśmy i w rozmowie, do której włączali się coraz to nowi żołnierze, dowiedzieliśmy się wielu ciekawych dla nas rzeczy. Oni są polskimi żołnierzami, którzy przedwczoraj wyzwolili lewobrzeżną Warszawę i mają w niej stać garnizonem do nowych rozkazów. Cały teren stolicy jest zaminowany i w związku z tym nie wolno się poruszać. Przez Wisłę na Pragę można przejść po lodzie obok zwalonych mostów przy Cytadeli. Przejścia pilnują czerwonoarmiści dokładnie legitymując i rewidując wszystkich idących z lewego brzegu Wisły na prawy. Poczęstowali nas gorącą, czarną, zbożową kawą i życzyli wiele szczęścia. My też wzajemnie im życzyliśmy zdrowia i pomyślnego powrotu do domów, po czym pośpieszyliśmy dalej, na Nowe Miasto. Mimo strachu o miny żwawo posuwaliśmy się Konwiktorską, obok torowisk, po których jeździły pociągi z gruzem wywozonym z getta. Następnie obok potwornie zrujnowanej Państwowej Wytwarzalni Papierów Wartościowych, przez kawałek Zakroczymskiej i Wójtowską, pokonując powstańcze barykady doszliśmy do Przyryнку. Zarówno mój dom Przyrynek 15, jak też Dom Starców na Przyryнку 4 (zwany też Przytułkiem) były częściowo zburzone od bomb lotniczych i spalone w całości. Żadnych śladów ludzkiego pobytu, żadnych śladów stóp na obficie leżącym śniegu. Tylko przeraźliwa cisza i absolutny spokój rozsiadły się na tych zwaliskach. Nieco dalej kościół Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny, częściowo zburzony, częściowo spalony, z dzwonnica rozprutą bombą lotniczą od dachu po przyziemie. Wokół niego wiele grobów powstańców i cywili. Zawróciliśmy ku Zakroczymskiej, a następnie Sanguszkki między Fortem Legionów a PWPW doszliśmy do brzegu Wisły. Na białej lodowej tafli widać było ludzi przesuwających się po lodzie, jak paciorki różańca, na praski brzeg. Na samym brzegu zamarznętej rzeki stał pierwszy punkt kontrolny czerwonoarmistów, tak jak nam mówili żołnierze na Muranowskiej. Po sprawdzeniu naszych dokumentów i zrewidowaniu tobołków pozwolili nam wejść na lód. Na środku rzeki drugi punkt kontrolny. Znowu sprawdzanie dokumentów i rewizja tobołków. Wreszcie na praskim już brzegu trzecia kontrola. Ta trzecia ekipa kontrolna już się zdążyła zagospodarować. Mieli jakąś budę z desek, palili ognisko i w kociołkach gotowali jakieś jedzenie. Nic nam nie zabrali, pozwolili iść. Odetchnęliśmy z ulgą znalazłszy się obok zniszczonego Ogrodu Zoologicznego. Przez pełne wojska ulice doszliśmy do domu wujka Stanisława na Wiosennej. Dom nr 1A stał niezniszczony. Z ogromnym napięciem doszedłem do znajomych drzwi na 1 piętrze. Zapukałem. Otworzyła żona wujka, wujek zapalał świeczkę, bo siedzieli po ciemku. Początkowo nie mogli mnie poznać. Potem wielka radość. I moje noszone w sercu pytanie: „Czy jest Mama”. A potem głucha odpowiedź „Nie ma!”. „Wyszła od nas około 15 sierpnia i do dzisiejszego dnia jej nie było”. „Miała wrócić do Szpitala Przemienienia Pańskiego albo do nas, ale nie wróciła”. Upadła reszta tak pielęgnowanej od 1 sierpnia nadziei, że znów będziemy razem. Przez kilka minut panowała kompletna cisza, nikt się nie odzywał. Przerwał ją dopiero mój stojący na korytarzu współtowarzysz drogi z Krzów na Pragę, pytając czy może wejść, bo jest mu zimno.

Następnego dnia mój współtowarzysz podróży pożegnał się i ruszył z powrotem do Krzów po resztę rodziny. Ja natomiast wyszedłem na praskie ulice, by uczyć się nowej rzeczywistości. Wszystko było dla mnie nowe, często niezrozumiałe, szczególnie treść różnego rodzaju afiszów propagandowych, obwieszczeń władz cywilnych i wojskowych. Bo jak rozumieć hasło na afiszu o treści „Warszawiacy, do Elbląga, do Olsztyna” albo takie: „Niech żyje wolna i demokratyczna Polska z granicą na Odrze i Nysie Łużyckiej”, bądź „Ziemia chłopom, fabryki robotnikom”, „Cała władza w ręce ludu pracującego miast i wsi”. Tej nowej rzeczywistości uczył mnie wujek Stanisław, bowiem był na Pradze od upadku Powstania. Uniknął niemieckich popowstańczych represji, uciekł przed wywózką do Niemiec. Przeżył



też szczęśliwie częste nagabywania nowych władz, co robił na Pradze przed, w czasie i po Powstaniu. Mówił jak wiele kosztuje ich życie na Pradze, jak ciężko o każdy grosz, o tym że po kartofle chodzili z ciocią pieszo aż pod Jabłonnę i Nieporęt. Ze gdyby nie jego inicjatywa i praca nad utrzymaniem w ruchu pompy od studni, to nie mieliby wody i szans na 50 groszy od każdego wiadra wody pobranego przez ludzi. Była to więc prawdziwa woda życia. Mówił także o tym, jak trudno się przyzwyczaić do ciągle i wszędzie słyszanego rosyjskiego języka i tych haseł: „Wielikaja sława Jozefu Stalinu”, albo „Zdrastwujet Sowietkij Sojuz”, bądź „Sława Krasnoj Armii”.

Po kilku dniach osuwania się z tą nową rzeczywistością udało mi się znaleźć pracę gońca w Zarządzie Miasta Stołecznego Warszawy, mieszczącym się wówczas w budynku szkoły przy ul. Otwockiej 3. Przenosiłem dokumenty do różnych instytucji, omiatałem ulicę przed budynkiem ze śniegu i rozklejałem różnego rodzaju ogłoszenia i komunikaty dla ludności, podpisane zarówno przez prezydenta miasta generała Mariana Spychalskiego, jak też Komendanta Wojennego Armii Czerwonej dla Miasta Warszawy – bez nazwiska i stopnia oficera na piśmie i w druku. Jako wynagrodzenie otrzymywałem codziennie litr zupy i ćwierć bochenka chleba, z czego część zanosilem do wujostwa na Wiosenną w garnku z pałakiem. Za każdy tydzień pracy dostawałem 10 złotych (paczka papierosów 10 szt. kosztowała w tym czasie 3 złote). Każdego dnia biegałem do redakcji dziennika „Życie Warszawy”, by przeczytać wkładkę „Poszukiwania rodzin”. Z podobnym celem szedłem na Targową 63, by tam pod megafonem zawieszonym na drzewie słuchać „Radiowej skrzynki poszukiwania rodzin”. Odpowiedniej treści dużego formatu zawiadomienia, o tym że szukam swojej rodziny i mieszkam na Wiosennej, przyklejałem do murów spalonych domów na Furmańskiej i Przyryнку. Wszystko bez rezultatu. Czas mijał – nikt z mojej Rodziny się nie znalazł i nie wrócił, chociaż był oczekiwany przeze mnie tak gorąco i serdecznie.

W kwietniu 1945 roku zgłosiłem się na kurs uzupełniający wiedzę z zakresu siedmiu klas szkoły powszechnej, zorganizowany przez Wydział Oświaty przy ul. Kawęczyńskiej 49. Po dwóch miesiącach nauki stanąłem przed Państwową Komisją Egzaminów Nadzwyczajnych dla m. st. Warszawy dla złożenia egzaminu. Zdałem pomyślnie i uzyskałem świadectwo ukończenia szkoły powszechnej siedmioklasowej z prawem w podjęcia nauki w każdej szkole średniej w Polsce. Komunikatu o zakończeniu wojny wysłuchałem 9 maja 1945 roku na Targowej 63 pod megafonem Polskiego Radia, które miało tam swoją siedzibę.

Udało mi się kupić dodatek nadzwyczajny wydany przez „Życie Warszawy” o podpisaniu przez Niemców aktu bezwarunkowej kapitulacji wobec 4 państw sprzymierzonych: ZSRR, USA, Wielkiej Brytanii i Francji i zakończeniu działań wojennych w Europie. Bardzo mnie dziwiło, dlaczego w tej uroczystości, na którą czekało przez prawie 6 lat wiele milionów ludzi zabrakło Polski – pierwszej i najbardziej pokrzywdzonej przez Niemców ofiary II wojny światowej. Powiedziano mi wtedy na kursie uzupełniającym przy ul. Kawęczyńskiej, że jeszcze nie uregulowano prawnie do końca spraw Polski. Są zatem dwa jej przedstawicielstwa. Jedno w Warszawie – jako w pełni uznany przez większość państw rząd Rzeczypospolitej Polskiej oraz drugie w Londynie, którego nie uznaje nasz główny sojusznik – ZSRR, bo jest tylko skupiskiem przegranych emigrantów politycznych mieniących się Rządem Polskim w Wielkiej Brytanii. I tego rodzaju wykładnię też trzeba było sobie przyswoić w ramach edukacji organizowanej w nowej rzeczywistości, chociaż nie zawsze z takim skutkiem, jakiego oczekiwała władza „warszawska”.

## Epilog

Koniec wojny w Europie, poszukiwanie swego miejsca w nowej, demokratycznej Polsce i uzyskanie świadectwa ukończenia siedmioklasowej szkoły powszechnej – wyznaczały kres mojego wojennego dzieciństwa. Nasuwało się pytanie – czym to dzieciństwo się kończyło, z jakim bilansem wchodziłem w nowy okres – w młodość. Był to bilans o kilku obliczach. Na pewno przez minione 6 lat zdobyłem wiele doświadczeń, które bądź pomogły, bądź zaszkodziły w dalszym życiu. Niestety, nadal pozostawałem sam. Mimo intensywnych poszukiwań, na dzień zakończenia wojny i pierwsze dni upragnionego pokoju nie udało mi się odnaleźć Rodziny i tej najbliższej i tej dalszej oraz ujrzeć ją w przedpowstaniowym składzie. Nieznane były losy Mamy – miejsce jej pobytu lub śmierci. Nie pomogły poszukiwania przez PCK i MCK w Genewie. Babcia – również brak jakichkolwiek śladów, gdzie się podziała i co się z nią stało po zdobyciu przez Niemców w czasie Powstania Domu Starców na Przyryнку 4. Ojczym – wzięty do niewoli po upadku Powstania powrócił z Niemiec do kraju, ale przywiózł sobie młodą Niemkę, po czym sądownie uznał Mamę a jego żonę za zmarłą, ożenił się z tą kobietą. O mnie zapomniał zupełnie. Mąż cioci Heleny – wyszedł do Powstania z domu przy ul. Hożej i nigdy się nie odnalazł. Mąż cioci Rozalii – ojciec Danusi i Zbyszka – wyszedł do Powstania z domu przy ul. Pruszkowskiej i nigdy się nie odnalazł. Ciocia Helena – z raną i pęknięciem czaszki – w szpitalu popowstańczym w Milanówku. Obydwa nasze mieszkania: przy ul. Furmańskiej 13 i Przyry-

---

nek, 15 doszczętnie zniszczone wraz z całym naszym dobytkiem i dorobkiem wielu lat. Mieszkanie cioci Heleny zniszczone bombą lotniczą. Mieszkanie cioci Rozalii spalone doszczętnie. Wszedłem w nowe, młodsze, pokojowe życie. Lecz bez tej bezinteresownej pomocy okazanej mi przez wielu ludzi, często nieznanymi, a także znanych i bliskich, pewnie nie dożyłbym uroczystego dnia zakończenia wojny. Wszystkim tym ludziom pragnę bardzo, bardzo serdecznie podziękować za tę udzieloną mi pomoc. Bez ich udziału przejście z mojego wojennego dzieciństwa do pokojowej młodości nie byłoby możliwe.